



3
lustro
na gościńcu



4
życie wśród
trumien



5
cud
w Królowcu



6
kontakt

7-10

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

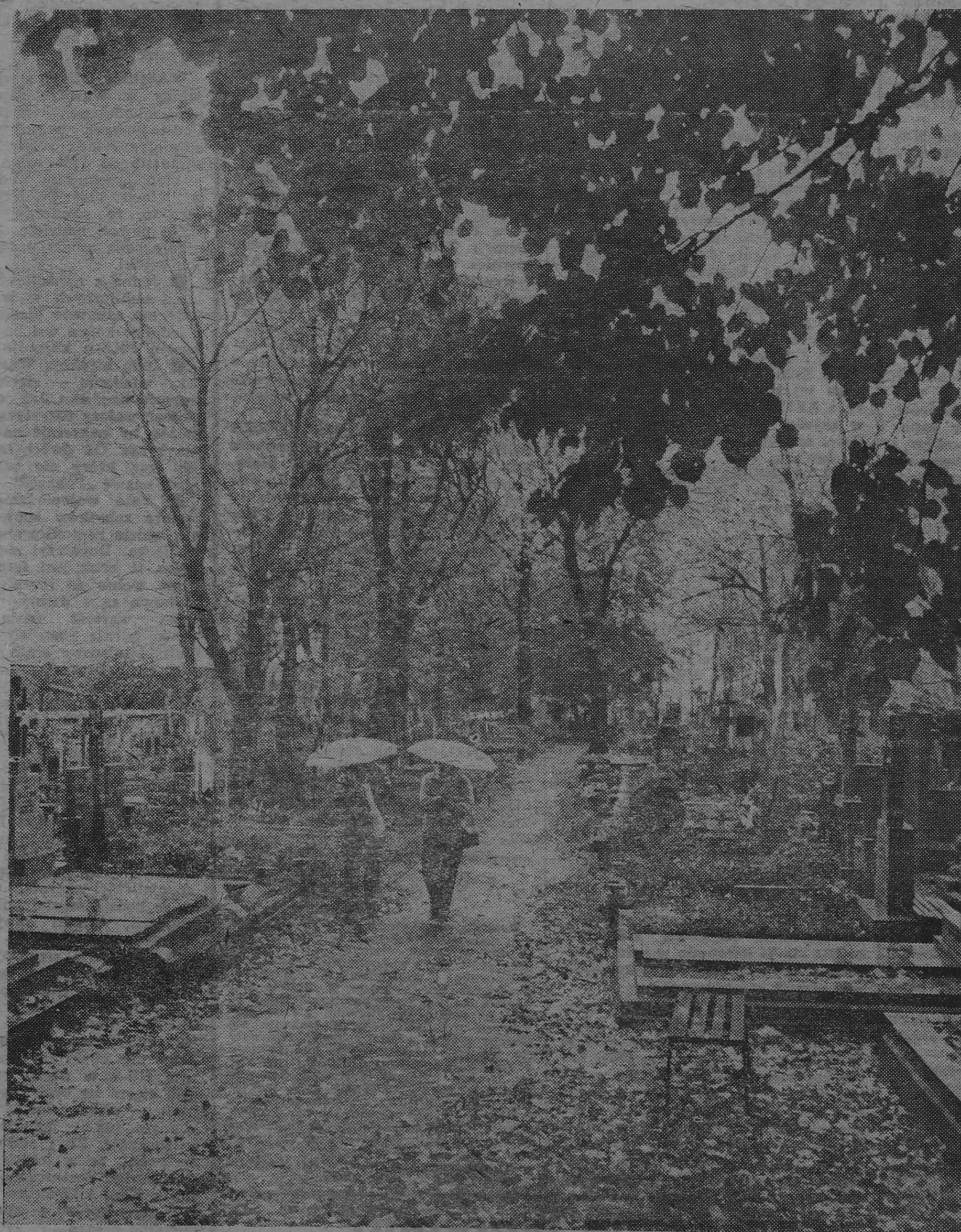
PL ISSN 0208-6840

44

(212)

KONTAKTY
4 XI 1984

cena
10 zł



U nas w zwyczaju z krewnymi się widzieć.
Tymi, co żyją i tymi, co w grobie.
W ten jeden wieczór powspominać sobie.
Pośmiać się i popłakać — jak nam w życiu idzie...

(Ernest Bryll — „Listopad”)

DANUTA
WRONISZEWSKA

Baba Wida

Sofia, godz. 22.30. Miasto jeszcze nie śpi — jest sobota, a Bułgarzy lubią się bawić. Mijamy z Włodzimierzem Dimitrowem dwie boczne ulice i wychodzimy przed pomnik Lenina. Obok plac jego imienia ze śliczną cerkwią św. Niedzieli. Mijamy monumentalne gmachy: Rady Państwa, Rady Ministrów i Dom Partii. Tuż za nim — wydłużony plac 9 Września, największy w centrum Sofii, z dwoma parkami i Mauzoleum Georgi Dymitrowa po bokach. Naprzeciw — meczet Bujak Dżamija o ołowianych kopułach, największa świątynia muzułmańska, zachowana z czasów tureckiej niewoli. Narodowy Teatr Akademicki im. Wazowa i Galeria Narodowa w dawnym pałacu carskim, przebudowanym po wyzwoleniu w stylu neorenesansowym. Za placem 9 Września zaczyna się Bulwar Ruski z cerkwią św. Mikołaja stylizowaną na mość moskiewską, z dużą majolikową ikoną św. Mikołaja. Nieco dalej, pod numerem dwunastym — Ośrodek Kultury Polskiej i niezłe zaopatrzone sklepy z polskimi towarami.

Przy gmachu Zgromadzenia Narodowego, plac o tej samej nazwie, a na nim Pomnik Wyzwoliciele. Wbrew nazwie, przedstawia on tylko jedną postać — cara Aleksandra II. Siedzi na pędzącym koniu, w ręce zaś trzyma manifest deklarujący wojnę o wyzwolenie Bułgarii. Tuż obok hotel „Sofia” z restauracją „Panorama” na jednym z pięter. Fenomen bułgarskiej gastronomii polega na tym, że restauracje są bez przerwy pełne, ale dla chętnych zawsze znajdują się wolne miejsca.

Niepostrzeżenie minęła północ.

O szóstej rano startuje samolot do Widina. Po 25 minutach pozna je kolejnych pracowników redakcji — red. Irenę Daniłową i kierowcę Piotra, przez przyjaciół zwanego Piero. Mieszkać będą w hotelu „Bononia” (tak brzmiała rzymska nazwa Widina), położonym w samym centrum miasta, a jednocześnie na skraju przydunajskiego parku. Dunaj jest w tym miejscu bardzo szeroki, nie bez przyczyny więc Widin stał się prawdziwym rzeczny portem. Tu, podobnie jak w Rusi, przeprawiają się zmotoryzowani turyści oraz TIR-y, najczęściej z ogromnymi chłodniami. W tym roku widziński port zaczyna przyjmować

CIĄG DALSZY NA STR. 6

W NASTĘPNYM NUMERZE: o konsekwencjach naiwności ojca Anny Lech, czyli: komu wierzyć? ▶ niech diabeł śpi — „Egzorcyzmy nad bagnami” ▶ „Kogo stać na bankrutów?” ▶ o pokusach słabych wiśniaków ▶ kwiaty Stanisławy Truskolaskiej ▶ Julio Iglesias.

EGZEKUTYWA KW PZPR zapoznana się z realizacją wniosków Głównej Inspekcji Terenowej, formami i metodami pracy partynacji w zakładach produkcyjnych, informacją o salutowaniu skarg i listów oraz wniosków POP, kierowanych do wojewódzkiej instancji w trzecim kwartale br. Radziła również nad skutecznymi sposobami upowszechniania edukacji ekonomicznej, nalecenia przez XVI Plenum KC PZPR.

JUŻ W NAJBLIŻSZY poniedziałek (5 listopada br.) Plenum KW PZPR oceni stan usług mechanizacyjnych świadczonych rolnictwu i skuteczność rolniczych służb doradczych; rozpatrzy również stopień realizacji uchwały IX Plenum KC PZPR i KW o sadaniach organizacji partyjnych w pracy z młodzieżą.

STAN I PROBLEMY kultury w Łomży były tematem obrad plenarnych KM PZPR. Uczestnicy dyskusji omawiali m.in. sprawy bazy lokalowej, potrzeb finansowych, aktywizacji działalności kulturalnej w zakładach pracy. Plenum przyjęło rezolucję i sekretarza KM, Marii Chaberek, i wyraziło jej podziękowanie za dotychczasową działalność. Do czasu wyboru nowego I sekretarza pracą miejskiej organizacji partyjnej będzie kierować sekretarz KM PZPR, Mikołaj Kisiel.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe instancje partyjne? Odpowiadają I sekretarze.

● KMG PZPR w Wysokim Mazowieckim: — Żyjemy sprawami związanymi z wyborami do samorządów mieszkańców. Na wsi rozpoczynamy kampanię 12 XI, w mieście — 6 XI. Na posiedzeniu Egzekutywy oceniliśmy działalność organizacji partyjnej w Spółdzielni Transportu Wiejskiego, Rejonie Energetycznym i Okręgowym Urzędzie Poczty. Omówiliśmy także pracę Spółdzielni Mieszkaniowej na podstawie oceny Głównej Inspekcji Terenowej.

● KMG PZPR w Nowogrodzie: — 26 X rozpoczęliśmy kampanię wyborczą do samorządów mieszkańców. Na posiedzeniu Egzekutywy zapoznaliśmy się z realizacją wniosków i postulatów z kampanii sprawozdawco-wyborczej w PZPR oraz skargami i listami, które wpłynęły do naszej instancji. Powołaliśmy także zespół lektorów szkolenia politycznego. Przygotowujemy się do posiedzenia plenarnego, na którym ocenimy pracę Egzekutywy i realizację zadań społeczno-gospodarczych w mieście i gminie za trzy kwartały br.

● KG PZPR w Piatnicy: — 25 października rozpoczęliśmy nowy rok szkolenia politycznego. 5 listopada zainaugurujemy kampanię wyborczą do samorządów wiejskich. Na ten temat odbyło się posiedzenie Klubu Radnych PZPR i sesja GRN-u. Egzekutywa oceniła stan partii w gminie i wykonywanie zadań przez jej członków.

„NAJTRUDNIEJSZE PRZED NAM” — to tytuł artykułu Włodzimierza Michaluka, I sekretarza KW PZPR, jaki się ukazał w 9 numerze „Nowych Drog”.

UKAZAŁ SIĘ KOLEJNY, powołany numer „Biuletynu Informacyjnego KW PZPR”. Zawiera przedruki z miesięcznika „Organizacja” — „Melody” i „Technika” (wydawane przez Instytut Organizacji, Zarządzania i Doskonalenia Kadr) m.in. takich publikacji, jak: „Rady narodowe — PRON — organizacje społeczne i zawodowe — samorząd — w jednolitym systemie władzy” prof. dr. hab. Edwarda Krasnusa i dr. Mirosława Karawata, „Rola i funkcje instancji PZPR w demokratycznym sprawowaniu władzy” doc. dr. hab. Jerzego Kudzińskiego, „Kierownictwo PZPR wobec terenowych organów władzy i administracji państwowej” dr. Stefana Koryckiego.

PROKURATORZY województwa suwalskiego, łomżyńskiego i białostockiego uczestniczyli w trzynastym szkoleniu zawodowo-politycznym w Rajgrodzie. Zaproszony na spotkanie I sekretarz KW PZPR, Włodzimierz Michaluk, poinformował prokuratorów o sytuacji społeczno-gospodarczej w Łomżyńskim.

Z KAŻDYM DNIEM rośnie konto Ogólnowojewódzkiego Komitetu Na-

rodowego Czynu Pomocy Szkole. Kolejnymi ofiarodawcami są: Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej w Zambrowie — 156 147 złotych (w tym 138 014 z czynów produkcyjnych, a reszta — ze składek zalogi), Komunalna Rozlewnia Gazu Płynnego w Łomży — 10 000, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne — 1000, Sąd Wojewódzki — 1340, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Surowców Włóknistych, Oddział w Łomży — 34 000, Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych — 4215 i 50 groszy, Wojewódzki Urząd Statystyczny — 2640, Samorząd Uczniowski przy Zespole Szkół Budowlanych w Łomży — 4000, Samorząd Szkolny Wydziału Zaocznego przy Zespole Szkół Zawodowych w Łomży nr 1 — 3000, Zespół Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Grajewie — 3000, Studium Nauczycielskie — 4000, Spółdzielnia Transportu Wiejskiego w Kolnie — 20 000, Cech Rzemiosł Różnych — 100 000, Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne — 11 346 złotych. Na koncie OKNCZPS znajduje się już 467 693 złotych i 50 groszy.

ZSMP ODPOWIEDZIAŁ na apel Ogólnowojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Członkowie z Zambrowa pomagają remontować budynek Zespołu Szkół Zawodowych Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej, Biuro Turystyki Młodzieżowej „Juventur” zobowiązało się organizować z własnych funduszy wycieczki sobotnio-niedzielne dla młodzieży szkolnej, zaś członkowie łomżyńskiej organizacji młodzieżowej weźmą udział w remoncie Szkoły Podstawowej nr 6. Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy ZSMP zadeklarował wyposażenie do laboratorium języków obcych jednej z łomżyńskich szkół, zaś internat i bursa otrzymają zasłony i pościel uszyte przez członkinie ZSMP, przebywające na urlopach wychowawczych. Młodzieżowiec z LZPB „Narew” wyprodukują w czynie społecznym dodatkowe ilości materiałów zastelowych i pościelowych.

168 REPREZENTANTEK 30-tysięcznych Kół Gospodyń Wiejskich, 30-tysięcznych kobiecych organizacji spółdzielczych, 3-tysięcznej Ligi Kobiet Polskich oraz Rady Dzieńców i Młodej Rodziny przy organizacji młodzieżowych obradowało w imieniu ładniejszej połowy mieszkańców województwa nad sposobami przeformowania swoich propozycji i kandydatek w wyborach do samorządów pracowniczych, osiedlowych i wiejskich. Udział w zebraniach przedwyborczych uznały za obowiązek każdej kobiety, postanowiły wszystkie włączyć się do realizacji realnego i ambitnego programu wyborczego, a także wykończyć każdą okazję do poparcia swoich przedstawicieli, bowiem kto wygra wybory do samorządów, ten będzie miał władzę w środowisku.

PRZEDSTAWICIELE łomżyńskiego świata pracy — na posiedzeniu Wojewódzkiej Komisji Współdziałania Związków Zawodowych — poparli uchwałę ideę ogólnopolskiego spotkania delegatów, które odbędzie się 24 listopada w celu utworzenia ogólnopolskiej reprezentacji organizacji zawodowych.

Z KOMUNIKATU WUS-u: coraz skuteczniej trujemy się sami, Łomżyńskie zakłady pracy wydzieliły w 1983 roku do atmosfery 6765 ton szkodliwych gazów, tj. o 465 ton więcej niż w roku ub., oraz 2698 ton pyłów. Ustallili nowe rekordy: Zakłady Płyt Włóknistych w Grajewie (wyprodukowały 2534 tony gazów zawierających 99,7 proc. dwutlenku siarki, utleniającego się

do trójtlenku, który po zetknięciu z wodą tworzy kwas siarkowy, i 493 tony pyłów), Łomżyńskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Narew” (odpowiednio: 1098 i 499), Wojewódzki Zakład Energetyki Ciepłej (948 i 666), Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej (439 i 136), Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego (645 i 191), Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Kolnie (554 i 187), Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piatnicy (101 i 141), w Zambrowie (82 i 57), w Wysokim Mazowieckim (119 i 102), Przedsiębiorstwo Przemysłu Betonów „Pre-fabet” w Sniadowie (254 i 176). Zaden spośród 14 najbardziej zanieczyszczających województwo zakładów nie ma urządzeń do redukcji zanieczyszczeń, połowa z nich wyposażona jest tylko w mechanizmy rozpylające.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ MLECZARSKA wykonała roczny plan skupu mleka w ilości 269 659 tysięcy litrów przy uzyskanej dynamice w stosunku do roku ubiegłego 115 proc. Do końca br. spółdzielczość skupi jeszcze około 50 milionów litrów mleka, a wartość dodatkowej produkcji wyniesie 1180 milionów złotych.

NA GIEŁDZIE sprzętu turystyczno-sportowego w Kiekrzu łomżyńskie WPHW podpisało kontrakty na dostawy towarów za 58 milionów złotych. Wprowadzić nie gwarantuje to jeszcze, że wszystkiego, co chcielibyśmy widzieć w tych sklepach, będzie pod dostatkiem, ale zapewnia znaczną poprawę zaopatrzenia, zwłaszcza w koldry, spiwory, tkaniny stilonowe, narty. Klient będzie też miał większą możliwość zakupu rowera-składaka i kurtki ocieplanej.

DOBIEGŁY końca październikowe Dni Prasy Ludowej, podczas których dziennikarze-ludowcy spotykali się ze swymi czytelnikami, m.in. w Łomży, Wysokim Mazowieckim i Zambrowie. Podsumowano również wyniki konkursu pn. „Aktywizujemy sprzedaż prasy ludowej”, w którym wzięli udział sprzedawcy kiosków „Ruch-u”, kierownicy ekspedycji prasy, pracownicy klubów Książki i Prasy. Nie zabrakło też spotkań mieszkańców z pracownikami instytucji obsługujących wieś i rolnictwo raz z weteranami ruchu ludowego.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA rozstrzygnęła konkurs pn. „40 lat socjalistycznej białoczerwonej”. Nagrody zdobyli: Paweł Konopka z LO w Grajewie — pierwszą, Sławomir Lebidzki z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Ciechanowie — drugą, Andrzej Orłowski z LO w Grajewie — trzecią. Wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy i upominki. TYDZIEŃ ARCHIWÓW Państwowych, obchodzony w mijającym tygodniu, zaznaczył się w Łomży wzmożonymi wizytami w naszym Archiwum oraz specjalnym otwartym zebraniem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Łomżyńskie Archiwum, którym kieruje mgr Donata Godlewska, istnieje już 32 lata ze skromną (liczbowo) obsadą; oprócz kierowniczki pracują w nim (na 1/2 etatu): Irena Ożubowska, Elżbieta Bienias, Elżbieta Bagińska i Leszek Kocot.

Sprostowanie

Ostatnia wypowiedź Bolesława Krywidy, naczelnika miasta i gminy Stawiska, w dyskusji redakcyjnej: „Droga przyjaźń” jest wypowiedzią Bogusława Niemczuka, wicedyrektora WOPR-u. Stwierdził on: „Panuje w Polsce taki pogląd, że na wsi pozostawał najgłupszy, ta opinia się umienia, ale w niektórych urzędach rolnika traktuje się jeszcze nieraz w ten sposób”. Wkradły się też inne błędy: POZH nie zawiera z rolnikiem umowy o rasową jatkówkę (w tekście było, że zawiera). Centrala Nasienna nie zgodziła się zakontaktować nie WOPR-owskich odmian lubinu lecz jedynie wdrażanych przez WOPR. Zdanie: „Administracja wojewódzka pozbawiła nas autorytetu” winno brzmieć: „To pozbawia nas autorytetu”. Przepraszamy za te pomyłki uczestników dyskusji i Czytelników.

wieści gminne

ŚNIADOWO. Nierzadko spotyka się pracowników handlu zadowolonych z pracy hurtowni. Jednak prezes miejscowego GS-u twierdzi, że nie ma powodu do narzekania na zaopatrzenie w Zakładzie Gospodarczym WZSR-u w Kolnie.

● Zapewne z zaopatrzeniem należy wiązać dobre warunki finansowe Gminnej Spółdzielni. Mimo że zakładano zysk w tym roku na około 2,5 miliona złotych, to już teraz, do trzech kwartałów, przekroczył on 3,5 miliona złotych. Całe szczęście, że finansów nie obciążają zalegające w coraz większym stopniu na półkach towary. Są one bowiem przekazane Spółdzielni tylko w komis i koszty spłat kredytów obciążają hurtownię.

● Księgowa GS-u kupiła jedną lodówkę w posagu wychodzącej na emeryturę. Płotka pomnożyła ten poszukiwany sprzęt gospodarstwa domowego do trzech sztuk. Znający życie twierdzą, że osoby — pełniące jakiegokolwiek funkcje na tam. świeczniku — powinny sprowadzać się do danej miejscowości z kompletnym wyposażeniem.

● Mimo że w Sniadowie wyznaczony jest plac targowy, na którym porządku strzeże osoba uprawniona do pobierania kopytkowego, jednak owoce i warzywa handlarze najchętniej sprzedają na rogu pobliskiej ulicy. Nie byłoby problemu, tyle że tutaj nie ma komu sprzątać.

WASOSZ. Dzieje starań o budowę szkoły w Wasoszu zapelnilyby — prawdopodobnie — grubą księgę. Podstawowych watek stanowiły obietnice władz różnych szczebli, składane od 1945 roku. Najnowsza z nich przewiduje budowę szkoły w latach 1986—90. Najsumienniejsze jest to, że pionierzy tych bojów tracą powoli nadzieję, że w nowej szkole będą mogli uczyć się nawet ich wnuki.

● Jedną z najdroższych komunkacji publicznych w województwie ma zapewne Wasosz. Przejazd z jednego końca wsi na drugi autobusem PKS-u kosztuje 10 złotych.

● Inna atrakcja Wasosza jest — jak wiadomo — sienkiewiczowski starosta Rzedzian. Jak jednak reklamować walory turystyczne, jeśli nie można by nakarmić nawet jednego przybysza. Od dwóch lat nieczynny jest bar, który nie bez przyczyny nosił nazwę „Pokrzyk”.

● Veto wojewódzkiego konserwatora zabytków spowodowało, że nie będzie remontowana ulica Mazowiecka. Dopatrzył się on mianowicie, iż bruk jest tam zabytkowy i nie wolno go ruszać. Wiece zabytkowe są i dziury w jezdni. Taką wartość mają też zapewne kałuże, sięgające od plotu do plotu. Miejscowe elegancki powinny więc czym prędzej zaopatrzyć się w gumki. Rece zacierają drogowcy, którym odpadł kłopot z głowy. Śmiało można schować na dno szuflady przygotowaną i opłaconą dokumentację odwodnienia ulicy.

● W miejscowym ośrodku zdrowia przyjmuje — według gminnej opinii — bardzo dobry lekarz-pediatra. Zjeżdżają tam mieszkańcy okolicznych miejscowości z chorymi dziećmi. Lekarz ten jest jedynym specjalistą i wszystko wskazuje na to, że będzie musiał poznać, opisać, pediatry, tajemki innych chorób, również u dorosłych.

● Skończyła się wojna o chleb. Jeszcze niedawno o godz. 8.00 w GS-owskich sklepach, po porannych zakupach, na półkach niewiele zostało. Teraz chleb dostarczany jest dodatkowo około 15.00. Między, nie udało się przekonać prezesa GS-u w Szczuczynie, aby — jeśli cierpi na brak środków transportu — chleb dostarczać wożem konnym, tak — jak dzieje się to w Szczuczynie. Zbyt słaby okazał się argument, że w latach pięćdziesiątych końmi dostarczano towary nawet z Eki i Grajewa. „Ale wtedy były inne konie” — stwierdził mial podobno prezes.

zaprosili nas

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego — na otwarcie nowej placówki handlowej — „Południe” w Łomży (26.10.br.), Biuro Wystaw Artystycznych w Łomży — na otwarcie wystawy „Plakety i Medalie Piotra Chodorowicza” (24.10.br.), Dyrekcja Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży — na II Wojewódzki Przegląd Amatorskich Zespołów Teatralnych przy Bibliotekach Publicznych (27.10.br.).

zdanie tygodnia

— W sprawach służbowych nie ma zdań prywatnych.

Bożena Majkowska, starszy inspektor Biura WRN

myśl z atesiem

„Jeżeli zbawiasz ludzkość, nie pluź na konkurencję”.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer



Mówienie o warunkach rozwoju polskiego reportażu akurat teraz, jesienią 1984 r., w dobie ogólnego kryzysu, załamania się tylu prognoz i „pomysłów na szczęście”, gdy „front ochłodzenia” wciąż tak rozległy, a lęk przed syntezą i uogólnieniem doświadczeń powszechny — zakrawa na miano wańkowiczowskiego „chciejstwa” i wystawia niewątpliwie na żer wiecznego żywego „kundlizmu”. Z jakiej ambony prawić kazania i w czym niby imieniu, skoro grupa ochotników iniejująca czyn naprawy wcale nie tak licząca i brak w niej tylu znaczących nazwisk...

— Zły to reporter, co nie dostaje po łbie z kilku stron naraz — tłumaczył mi ćwierć wieku temu znany Tadeusz Zochowski, mój pierwszy zwierzchnik i praktyk reportażu, gdy stawał pierwszy krok w „Zarzewiu”. — Kiepski reporter, co nie ryzykuje jakiejś kraksy, nie zarobi pisaniem na pozew sądowy i nie schowa do szuflady choć połowy tego, co mu wymyśli z druku kierownik działu i własna ostrożność... Darmo psuje papier taki, co nie pisze z myślą o czytelniku, który za lat ileś tam zechce go przeczytać i zapyta: „Co w tym lustrze widać, jaki czas w nim się odbija, po jakim ono deptało gościniec?”

To jest warunek pierwszy rozwoju polskiego reportażu: chęć i zdolność samych reporterów kłócenia się ze światem w imię idei choćby trochę większej niż rzeczywistość; pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu; bez względu na pogodę polityczną i dziejowe przeciagi.

Już słyszę: — reporter jest po to, by zdawał sprawę, by przedstawiał jedynie fakty, fakty, fakty! Do diabła z komentarzem, teza i publicystyka. Prawa gatunków są rozdzielne, a prawem reportażu jest kreowanie obiektywnej prawdy przez obiektywne fakty.

Tak, wybór faktów jest istotny; mówi on za autora, jakiej sprawie służy, jakiej idei są lepszemu. Zawsze wybiera się jedne fakty przeciwko innym, spostrzega jedno pomijając drugie: pisze się rzetelnie i prawdziwie, a jednak obok czegoś, co czeka na opisanie... Wybór decyduje o widzeniu prawdy.

„Dziś mówi się dużo o walce z hałasem, a przecież walka z cizą jest ważniejsza [...] Byłoby ciekawe, gdyby ktoś zbadał, w jakim stopniu światowe systemy masowego przekazu pracują w służbie informacji, a w jakim — w służbie ciszy i milczenia. Czego jest więcej tego, co się mówi, czy tego, czego się nie mówi? — napisał jeden z najlepszych w naszym fachu. Ryszard Kapuściński.

Warunkiem drugim rozwoju polskiego reportażu jest walka z cizą zaległą wielkopańsko w kątach naszego ubogiego domu.

Znakomity akuszer reportażu, stary lektor i krytyk reporterskiej wirtuzy „Iskier” — Zbigniew Stolarek — zauważył kiedyś, że polski reportaż, podobnie jak polski plakat, zdobył szansę rozkwitu w dołkliwym ubóstwie środków. Im uboższy w środki, im biedniejszy w wyrazie i skromniejszy w formalnych zachęciach, tym milej widziany!

Trzecim warunkiem rozwoju polskiego reportażu — nie mniej ważnym od innych — jest rozstanie się z mniemaniem, że taki „zimny wyychow” wpływa na rozwój literatury faktu.

Reporter wie instynktownie, że jest donosicielem faktów i obserwacji zgoda dla rozmaitej władzy kłopotliwych, ale społecznie potrzebnych, aby władza miała wiele transmisji „w dół” i „w górę”. Czy naprawdę środki masowego przekazu w obu kierunkach działają? Powtarzające się nasze kryzysy mówią na ten temat wciąż to samo: zakłócenia w obiegu informacji „z dołu w górę” zawsze towarzyszyły nawrotom kryzysu i wręcz go przyspieszały. Teraz, owszem, mówi się wiele i głośno o kryzysie, mając na myśli sferę materialną naszego życia, tę, o której Bogdan Suchodolski powiada, że jest spełnieniem „wertykalnej strategii i filozofii życia”; potwierdzeniem sensu egzystencji jedynie przez gromadzenie dóbr materialnych, poświadczaniem wartości własnej przez rzeczy zdobyte, przez dobra „wymierne”. W środkach masowego przekazu wyraża się to jako nieustające roz-

trząsanie wyłącznie kwestii gospodarczych i tego wszystkiego, co jest tych kwestii prostą projekcją. Nieomal wcale nie mówi się o kryzysie w sferze wartości, w sferze myśli samej i samej idei — w tej domenie, którą Suchodolski odnosi do „horyzontalnej strategii życia”: mieć coś, by kimś być, czy też być kimś, aby jak najwięcej mieć?

Ozwartym warunkiem rozwoju polskiego reportażu jest wznowienie dążeń obydwu biegunów — „dołu” i „góry” — by reporter stał się na powrót gońcem i roznościcielem dobrych i złych nowin, tragarzem faktów obiektywnych, rzetelnie sprawdzonych i opisanych, i aby był — jednakowo — pilnie oczekiwany przez „szarego” czytelnika, jak i przez „decydenta”.

Aby reportaż mógł się rozwijać (co zaprzecza pojęciu „wegetować”), w nas samych i „na górze” musi istnieć poczucie wysokiej rangi społecznej tego gatunku twórczości, i nie chodzi tu o frazes komplementarny, ale o widome realia. Łatwo je nazwać i wymienić. Są to m.in.: 1) wyróżniające się miejsce publikacji na łamach i na antenie, 2) możliwość uczestnictwa obserwatorskiego w sytuacjach społecznie drażliwych, 3) wewnątrzredakcyjna stymulacja ze strony kierownictwa śmiałych przedsięwzięć reporterskich, 4) premiowanie honoraryjne materiałów z tzw. „głębokiego terenu” i wyróżnianie oryginalnych spo-

sozów ujęcia, przy użyciu świeżych środków formalnych, 5) fundowanie stypendiów (nawet kilkumiesięcznych) realizatorom ambitnych pomysłów, 6) zwiększanie prestiżu stałych konkursów reporterskich przez podnoszenie wysokości, a zmniejszenie liczby nagród, by służyło to istotnie nadaniu blasku młodym talentom wstępującym na scenę, 7) przyspieszenie debiutu książkowego w specjalnej serii ekspresowej, której książki byłyby znaczącą wykładnią szlachetnych pryncypiów mecenatu, jak i wyrazem nonkonformistycznych dążeń i poszukiwań faktopisarzy.

Piątym warunkiem rozwoju polskiego reportażu, jego większej przeźroczystości i „sily przebiecia”, będzie zjednoczenie sił całego środowiska faktopisarzy, ludzi przecież z natury rozmaitych, ciekawie poróżnionych między sobą w kwestiach może mniej ważnych, wszakże w tej najważniejszej — w dziele naprawy Rzeczypospolitej — nie podległych kapitulacji i nadal czynnych.

„Zjednoczenie sił” nie znaczy to samo, co zgodność poglądów i zatarcia różnicy postaw w działaniu, ale przejście — ponad rachunkiem pretensji — do porozumienia.

Szóstym warunkiem będzie uszanowanie najlepszych tradycji tego gatunku, przypomnienie i kontynuacja doświadczeń, jakie reportaż w rozpoznawaniu rzeczywistości zdobył — bez oglądania się na koniuk-

niosą nakład, bo towar to pokupny; dajmy im chwilowo wariackie papiery, pismo nasze na rozruchu... I w tej bitwie o czytelnika stawia się na sensację, na rewolwerowy tekst o czymkolwiek, byle był huk i błyskało po oczach. A kiedy pismo jako tako się ustabilizuje na rynku, wówczas reporterów bierze się w cugle, co oznacza nadanie im statusu maszynki do mięsa, omnibusów, sprowadzenie do roli kiszki prostej, gdzie pokarm nie jest już trawiony, ale mechanicznie przesuwany ku odbytow. Wyzucie reporterów z jego inklinacji tematycznych, ociosanie go na modłę uniwersalną — jest, na szczęście, nieiszczalnym marzeniem. Są ciągle maniacy i dociekliwcy dłużyący tygodniami, a nawet latami w temacie; są koty chodzące własnymi drogami.

By rozwijać się mógł reportaż potrzebne jest zrozumienie potrzeby inwestowania w ten warsztat. Któż policzył rzetelnie koszty wykonywania zawodu reportera? I kto te koszty, jeśli nie sam reporter, głównie ponosi?

My, reporterzy, dysponujemy szansą zbliżenia z ludźmi, którzy tworzyli Kontur Epoki; możemy rozmawiać ze świadkami wielkich wydarzeń, słyszeć niezwykle opowieści z ust bezpośrednich świadków i uczestników zdarzeń, możemy te opowieści, wyznania, konfesyjne relacje rejestrować na taśmie, na kliszy fotograficznej, na filmie. Możemy tworzyć unika-

RYSZARD
WÓJCIK

lustra na gościńcu

sobów ujęcia, przy użyciu świeżych środków formalnych, 5) fundowanie stypendiów (nawet kilkumiesięcznych) realizatorom ambitnych pomysłów, 6) zwiększanie prestiżu stałych konkursów reporterskich przez podnoszenie wysokości, a zmniejszenie liczby nagród, by służyło to istotnie nadaniu blasku młodym talentom wstępującym na scenę, 7) przyspieszenie debiutu książkowego w specjalnej serii ekspresowej, której książki byłyby znaczącą wykładnią szlachetnych pryncypiów mecenatu, jak i wyrazem nonkonformistycznych dążeń i poszukiwań faktopisarzy.

W siedmiu wymienionych postulatów zawarł się ledwie wstęp do długiej listy spraw. Szkic to daleko niepełny i adresowany głównie do „góry”. Adresatem osobnej listy winno być całe nasze środowisko.

„Reportaż zrzeszony w SD PRL” to brzmi tak, jak „Zrzeszenie reporterów pociągów dalekobieżnych kursujących jesienią przy blasku księżyca”. Wysoka specjalizacja! Nie należało odcinać uczestnictwa w naszym działaniu wszystkim „niezrzeszonym” jeszcze. Brakuje na tej sali sympatyków naszego Klubu, a także wstępujących dopiero w reporterskie szranki — przyszłych asów gatunku. Czemuż milczeć także o tych weteranach zawodu, wokół których wciąż jeszcze zalega głucha cizna, choć wiadomo, że pióro nie wypadło im z ręki, mimo iż ręka mocno potłuczona w kraksie na dziejowym zakręcie. Powiedzmy otwarcie: płacą oni dziś cenę wysoką zarówno za chwalebą odwagę trwania przy swoim sterze w najtrudniejszym okresie burzy i naporu, ale płacą też za swe zapamiętane uczestnictwo w takich formach politycznego działania, które już tylko pisarstwem, gwoli samego świadectwa, nie było... Nazbyt poważne i złożone bywały motywy podejmowanych w owym czasie decyzji, by nie należało szanować dramatu takiego wyboru.

Jeden z nieobecnych tutaj, choć i dziś nie pogrążony w milczeniu, nasz dawny kolega, mówił przed Sierpniem na innej sali: — Kole-



turalnie „obowiązujące” etykiety, jakimi posługują się zawsze super-cyjni poganiacze ówczesnych redyków, którzy odrzucają wszystko to, co nie podane z góry na widelcu.

Reportaż ambitny jest dla wielu naczelnych niepotrzebnym luksusem: odpychają go, bo ich widzenie rzeczy jest jasniepańskie, dworskie: mają w rękach kalendarzyk z całą litanią wszelkich uroczystości i rocznic; ciągle obracają jego kartkami, komponując pismo w rytmie tych lub innych obojędów i upamiętnień. Kalendarzomania stała się plagą środków masowego przekazu: tematy chodzą stadami, i choćby jakiś był szlagierem, zgrywany do młotki — szybko jest obrzydzany czytelnikowi. Problemy poważne (jak np. narkomania, los ludzi zwolnionych z pracy) stają się żetonami wiadomych tez, liczmanami, rodzajem dziennikarskiej „tapety” — jak „tapeta dźwiękowa” — jest dziś dla wielu słuchanie radia i mechaniczne oglądanie telewizora.

Reportaż traktuje się jak odświeżającą widokówkę lub pikantną przyprawę do mdłej zupy albo podchodzi się do niego z wyrachowaniem zimnym i cynicznym: reporterzy napędzają nam czytelnika, pod-

towy zapis dla Banku Pamięci Narodowej, który to Bank — jeśli tego zechcemy — kiedyś powstanie.

Gdyby na tej sali był obecny nieodżałowany Melchior Wańkowicz, pewnie by nas zachęcił do powołania Studia Dokumentu jego imienia. To on przecież już w roku 1937 tworzył zapis dźwignia polskiej przemysłowej, która miała dać broń dla odparcia przewidywanej agresji. Tworzył reportaż „produkcyjny”, ale jak nowoczesnie oprowiony w fotomontaż, grafikę, dokument! Jego „Sztafeta” może stanowić wzór dla naszych wydawców, wzór dotąd przez nikogo nie spełniony. Gdyby Wańkowicz żył, postulowałby pewnie stworzenie przedsiębiorstwa wydawniczego poświęconego literaturze faktu — takiego Koncernu Faktu — w którym ukazywałyby się zarówno teksty, jak i fotoalbumy z dodatkami płyt dokumentalnych, kaset i videokaset...

Gdyby Wańkowicz żył... Ale to przecież od nas samych zależy, czy jego światłe idee uda się wcielić w życie.

Fragmenty wystąpienia przygotowane na I sesję Krajowego Klubu Reportażu (Łomża, 29-30 IX br.).

interpretacje



kontakty kontaktów

W Wysokiem Mazowieckiem już od dziesięciu lat buduje się trzecie osiedle domków jednorodzinnych (30-lecia PRL). Zdaniem wielu (a szczególnie mieszkańców) ładniejsze od pozostałych, jako że wyróżnia je urozmaicona architektura, gdyż wkomponowane zostało w teren już częściowo zabudowany. Projekt przewidywał także sporo miejsca dla handlu i usług, których dotychczas nie udało się zlokalizować na terenie miasta. Staraniem radnych ujęto w planie budowę pawilonu spożywczego. Ponieważ jednak realizacja takiego przedsięwzięcia trwa kilka lat, PSS — dla zaspokojenia dodatkowych potrzeb mieszkańców w zakresie zaopatrzenia — zbudował kiosk typu UNO, z którego (od 1980 r.) korzystają nie tylko liczni mieszkańcy osiedla, lecz również rolnicy z okolicznych wsi.

Zgodnie z zapisem w planie społeczno-gospodarczym miasta i gminy oraz w planach WSS rzeczywiście zbudowano, w miarę okazały, pawilon z tarasem, lecz wbrew oczekiwaniom mieszkańców postanowiono, że będzie to pijalnia piwa. Tak też się stało. Latem ub. roku przekazano do użytku (agentowi) — w miejsce pawilonu spożywczego — bar alkoholowy „Manius”. Sztyldu wprawdzie nie było, lecz jego nazwa znana była dobrze wszystkim mieszkańcom miasta, a szczególnie tym lubiącym coś mocniejszego.

Już przed godziną trzynastą mnóstwo spragnionych podąży, by jak najszybciej ugasić pragnienie. Ulice prowadzące od Rynku do baru są jeszcze bez chodników, wszyscy idą więc jeżdżąc. Część klientów przyjeżdża samochodami (dość często służbowymi), a nawet ciągnikami. Pojazdy czekają nieraz nawet kilka godzin.

Przewracający się piwosze, śpiący na ulicy i schodach baru, częste bójkі na tarasie lokalu lub w jego pobliżu — to codzienny widok. Interwencje milicji i pogotowia ratunkowego nie są rzadkością.

Po kilku godzinach od otwarcia baru trudno przejść lub przejechać ulicą. Pijani niechętnie ustępują z jezdni. Potrzeby fizjologiczne zatłoczonej tam, gdzie stoją, nie zwracając uwagi na otoczenie. Delikwencji „wiszący” na ogrodzeniu stanowią dekorację spokojnego osiedla.

Zadziwiający jest też fakt, iż Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna pozytywnie zaopiniowała lokalizację baru w centrum osiedla, gdzie strefa ochronna od osadników ścieków winna wynosić 50 metrów, gdy tymczasem odległość do najbliższych budynków mieszkalnych nie przekracza 15 metrów. Osadniki są często tak pełne, że nieczystości przelewają się na niezagospodarowany teren wokół baru. Dla nas, mieszkańców, bardzo ważna jest strefa ochronna, i dobrze byłoby, gdyby dla tego typu lokalu wynosiła ona nie 50, lecz przynajmniej 500 metrów, ponieważ jest on bardziej uciążliwy niż duży zakład przemysłowy.

Czy zyski PSS „Spotem” są ważniejsze od spokoju w osiedlu i w rodzinach? Taki bar jest ogniskiem niepokoju w wielu domach, skupiskiem zła i wszelkiego rodzaju obiboków. Stąd wracają mężowie i ojcowie rodzin, przepiwszy często ostatni grosz „skradziony” własnej rodzinie lub zarobiony na „lewo”. Codziennie spotyka się te same twarze. Skąd oni mają pieniądze? W imieniu samorządu mieszkańców osiedla, dla dobra wspólnej sprawy, nie prosimy — lecz żądamy jak najszybszej likwidacji tego baru, a w jego miejsce otwarcia sklepu spożywczego z artykułami pierwszej potrzeby. Kultura nasze społeczeństwo nie dojrzało jeszcze do takiego poziomu, by można było prowadzić lokale w taki sposób.

W ostatnich dniach na budynku powieszono szyld: „Bar „Zacisze”. Pytamy, dla kogo zacisze, a dla kogo balagan? Zyskiem jego likwidacji będzie spokój i wdzięczność społeczeństwa miasta oraz duży postęp w realizacji ustawy antyalkoholowej.

(73 podpisów mieszkańców osiedla)

Kazimierz Drożyner, przed trzema laty sekretarz POP, a jednocześnie inspektor ppoż. i bhp w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji, z zawodu elektryk, nigdy wcześniej nie widział siebie w dzisiejszej roli. Wzniósł się do rodziny rzemieślniczej osławionego Farata i ostatniego kołodzieja Ziemi Łomżyńskiej, który już od czasów powojennych coraz mniej poświęcał się wybranemu przez siebie i swego ojca rzemiosłu, gdyż coraz mniej składano zamówień na koła. Mebli z płyty — mówił — wykonywać nie będę, bo to żaden mebel, żadne rzemiosło.

Prawie 50-tysięczna Łomża wojewódzka ma tylko dwóch trumniarzy. Był kiedyś trzeci, ale wydawało mu się, że trumna jest wyrobem do piachu, może więc być zbita i wyheblowana jakkolwiek; stracił nabywców i ogłosił plaitę już po pół roku.

Tak przedstawiał się stopniowo na trumny — ostatnią posługę na tym świecie. Ojciec Farata przepracował w tym fachu 50 lat. Przed trzema laty przekazał rzemieślniczą schedę zięciowi. Jednak ludzie nadal mówią, iż idą do Farata, bowiem zakład mieści się u teścia. Zięć nie protestuje, gdyż nie tylko dla mieszkańców przy ulicy Nowej Farat oznacza wykonanie terminowe i solidne, a także uczciwe oszacowanie wyrobu; to znaczy: w granicach ludzkiej przyzwoitości. Nikt jednak nie wie, jak te granice są rozległe.

Kazimierz Drożyner woli nie mówić, ile trumien wykonuje tygodniowo. Fakt, iż zawsze coś hebluje lub wiezie swój produkt do szpitala, świadczy o tym, że czasu na próżność tego świata nie traci.

— Owszem — przyznaje — ciężko samemu człowiekowi prowadzić warsztat, samemu zabiegać o materiał, deski, gwoździe, klej stolarski, płótno i ozdoby, ale też nigdy się nie zdarzyło, żeby klient czekał.

Pomaga mu niezawodna intuicja. Wielokrotnie już robił trumny nietypowe, o długości 2,20–2,30 metrów, i zawsze następnego dnia była akurat taka potrzebna.

Teś przychodzi, kiwa głową — To mój uczeń — powiada — Dał się namówić, ale namawianie to ciągnęło się przez wiele lat. Wołałem go do potrzymania młotka, deski. Potem prosiłem, by zrobił taki czy inny element, i tak się wciągnął. Najważniejsze jest jednak to, że chce swoje rzemiosło wykonywać solidnie. Jakem Farat, wiem, że będzie kiedyś spoczywał w porządnej dębowej trumnie, jak na porządnego rzemieślnika przystało. Człowiek powinien schodzić z tego świata godnie. Wprawdzie nie może już podać z podniesioną głową, ale ważne jest, w czym go wynoszą.

— Ludzie są bardzo uczuleni na to — mówi Kazimierz Drożyner — jak wykonana jest trumna. Jedni mówią: przeżył tyle lat, był dobrym człowiekiem, należy mu się. Druzy o zmarłym mają inne zdanie.

„Było z niego kawał pijaczyska — przypominają — ale niech wie, że my mu na ostatnią godzinę grószka nie poskapili. Niech więc ma ten jednoosobowy domek porządną, ładny, błyszczący, to znaczy: wylakierowany na wysoki połysk. I solidnie zrobiony. Niech pan doda wszystkie elementy.” Są też i tacy, którzy nie przywiązują wagi do polysku. Niech zostanie wykonana z drewna, niech będzie surowa, bez emblematu czy kropki lakieru. Człowiek powinien schodzić z tego świata skromnie. Idzie przecież na Sąd Boży, nie może więc pchać się tam jak adwokat czy prokurator.

życie wśród trumien

Wzorze trumien są niewyszukane. Przeważnie zamawiany jest jeden z czterech. Karmesówka jest trumną zwykłą. Musi być z drewna sosnowego. Karmesówka warszawska pochłania więcej pracy. Musi być o trzy listewki wyższa, zwieńczona dachem płaskim lub półokrągłym. Niektórzy posypują ją brokatem — świecącym proszkiem. Drożyner nie stosuje tego zabiegu. Powierzchnia musi być gładka, aby nie trzeba było maskować nierówności. A wewnątrz trumna powinna być dobrze wyheblowana. Człowieka, po dokładnym umyciu, ubierają w czyste rzeczy. Musi być złożony do gładkiego, aby nie haczył, kiedy mu przyjdzie w grobie się przewracać.

Zamawiali u niego trumny z Warszawy, Kutna, Poznania. Przeważnie byli to znajomi teścia, którzy wywedrowali kiedyś z Łomży. Niech pan zrobi — mówili do pana Kazimierza — Zawsze to inaczej, gdy wykona swój człowiek. Dużo jest państwowych zakładów, ale i emblematy mają jakieś dziwne, jakby papierowe, i wykończenie w środku paździorowate.

Przed kilkoma dniami miał nietypowego interesanta. Zatrzymał przed bramą samochód, zatrąbił, gospodarz wyszedł, a gość jeszcze wcześniej od „dzień dobry” oznajmił, iż jest pułkownikiem z Komendy Głównej. Pan Kazimierz spojrzął nań ze zdumieniem: „Może pan i pułkownik. Mnie te doświadczenia nie obchodzą. Jeśli mam

więcej klientów, to i tak — trzeba poczekać w kolejce. Ale niedługo. Przez noc zrobie”. Tu, za bramą, powiada mistrz, liczy się tylko człowiek. Nie honoruję żadnych odznaczeń, pozycji, stopni naukowych. Wszyscy ludzie są tacy sami i łączy ich jedno: chcą mieć na koniec porządną trumnę.

W 1982 r. na zamówienie Kurii, robił trumnę dla biskupa Sasnowskiego. Musiała być dębowa, bez ozdób, ładnie wyheblowana. I broń Boże, ani kropki lakieru. Ale po ciachu na złaczach trochę położył, by się szybko nie rozszedła. Ciało złożono w krypcie pod ołtarzem Matki Boskiej w Katedrze, stąd i wymiary miała określone: 2,5 na metr szerokości. Trumnę trzeba było najpierw wnieść do krypty — przymierzyć, potem wynieść i ustawić do pogrzebowej ceremonii. Zmarły — pamięta pan Kazimierz — był pochowany w szatach biskupich.

Wykonywał też trumny dla siostr zakonnych. Te malował na czarno. Bez względu na wzrost zmarłej mogły mieć tylko metr siedemdziesiąt. Większa nie mieściła się w krypcie. Trumny księży nie różniły się od trumien przeciętnych śmiertelników; przeważnie były sosnowe, pociągnięte lakierem. Dla alumnów, którzy w roku ubiegłym zginęli w wypadku samochodowym, wykonywał dwie trumny od razu.

Gdy idzie przez łomżyński cmentarz i patrzy na kłepsydry, wydaje mu się, że spogląda na numery domów w swojej wsi. Pamięta zmarłych i ich najbliższych; niektórzy wpadali do niego nawet o północy, kołatali do bramy i prosili: „Ale koniecznie na rano musi być gotowa, bo akurat jutro zjeżdżają się krewni”. Nieraz nie byli przygotowani na ów zakup; brali na kredyt. Wydawał tak co trzecia. Jeszcze się nie zdarzyło, aby mu ktoś nie zwrócił pieniędzy. Czasami najwyżej spóźnił się o tydzień lub dwa. Z jednej trumny nie podatek obrotowy i dla siebie pozostaje około trzech tysięcy złotych.

Trumna kosztuje przeważnie 14–15 tysięcy złotych. W państwowym zakładzie jest tańsza, ale i gorsza. Ludzie chcą zapłacić więcej, by mieć czyste sumienie, iż wobec drogiej zmarłych nie okazali się skapcami. Te 14–15 tysięcy to dla pana Kazimierza także miara życiowych osiągnięć. Tyle akurat zarabiał w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji — wraz z premią i rekompensatą — po 22 latach pracy.

Trumny dla noworodków kosztują 2 000–2 500.

— Musi być taka cena, bo tyle akurat kosztuje materiał i dowóz. Za metr sześcienny tarcicy płać 16 tysięcy złotych.

Zawód trumniarza? A bo to taki jest. — Wątpliwości te miałem już na egzaminie na czeladnika, który zdawałem w Grajewie. Było to przed 1 maja, więc polecono mi wykonać drzewce do flag. A na ustnym pytano, co to jest RWPG, kto jest I sekretarzem KC PZPR, przewodniczącym Rady Państwa.

Wszędzie piszą w papierach, że jest stolarzem, tylko że i Cech i władze miejskie nie dbają o niego jak o stolarza. Własnym samochodem podwozi trumny, ale dodatkowego paliwa nie otrzymuje. Nie otworzy w lecie drzwi wejściowych do domu, bo zaraz ciągną muchy i fetor. O usunięcie śmieтника walczą już od 17 lat. Przychodzą komisje z Urzędu Miasta, Urzędu Wojewódzkiego i — prawie wszystkie powołują go do obiedu: „Panie Drożyner, co było postawione wcześniej: pana dom czy śmietnik?” Teś pogonił z podwórka takich rozjemców. Pan Kazimierz wyciąga przepisy budowlane: — Nie można w odległości 15 metrów od granicy posesji lokować takiego śmietnika!

Kiedy budowali siedzibę Urzędu Wojewódzkiego, pan Kazimierz już wtedy przeczuwał, że po drugiej stronie jego posiadłości zapali się nowy konflikt. I stało się. Wlewali parking, wleźli na drogę — akurat naprzeciw jego posesji. Trudno wyjechać z garażu. Ociera nysą o murek parkingu. Interweniował u dyrektora gospodarczego; ten obiecywał, że na pewno sprawę załatwi. A teraz coraz większym łukiem omija trumniarza.

— Kiedyś nie będzie mógł ominąć. Podobnie jak inni, którzy u przykrzają mi to doczesne życie. Ale ja im i tak solidne trumny robię.

STANISŁAW ZIELIŃSKI



Pani Wandzia już nieraz o tej Królowce słyszała, a to w sklepie, a to w pracy albo autobusie. Wszędzie ludzie tylko o tym i o tym, jakby innych tematów nie było. To pożyczła wreszcie to przepowiednię, przeczytała o Chinach i Rosji, i o tym, że znaki się będą pokazywać, po czym mówi do pana Staszka, sąsiada z pierwszego piętra: „Jedziemy!”

Dobrali jeszcze pana Zdziśka, akurat też miał wolne, i panią Hanie. Pan Staszek ma trabanta — dryndę, jak to się mówi. Pani Wandzia nawet się zastanawiała, jak ona w tym pojedzie, tym bardziej że ubrała do Królowki nowy kożuch; ciepło wprawdzie, ale kożuch dopiero co kupiony. Jakby chciała, mogłaby pojechać polonezem; ostatnio widziała w Tarnowie sporo ogłoszeń na drzwiach albo słupach: „Dwie osoby polonezem do Królowki za biore”, ale pan Staszek mógłby się obrazić.

Pani Wandzia jeszcze tylko wieczorem do fryzjera poszła, budzik na rano nastawiła, w lustrze trochę posiedziała, bo nie lubi być jak się ludziom pokazać, i mogła jechać. Wyjechała punktualnie o siódmej rano. Do Bochni — jako tak — a tam się zatrzymała. Poszła. Stała z godzinę, już nawet chciała brać taksówkę, dopiero na postój dowiedzieli się od miejscowych, że czekają na ma co, wszystkie kursy do Królowki pozamawiane.

Drogi do Królowki nikt nie znał, bo to mała wieś; pan Staszek ludzi chciał, po drodze pytał, ale pan Zdziśki go przekonał: „Staszek, ludzi się nie dopytuj, jedź tak, jak wszyscy jadą”. Faktycznie, jak skręcili za Bochnią na Nowy Wiśnicz, trafili w taką kawałkę samochodów, jakby kto najbogatszy w okolicy siostry bliźniaczki za jednym razem za mąż wydawał.

Już różnie o tej Królowce słyszeli, ale żeby tak było, to nikt nie myślał. Wolna sobota, parę minut po ósmej rano, a w Królowce ciżba, samochody jeden przy drugim, trudno było znaleźć miejsce do parkowania. A jeszcze do tego autobusy! Wszędzie napisy: „Wolnych miejsc brak”. Wszystko ciśnie się tą drogą do góry, chociaż błoto takie, no, w końcu jak na wsi. Gdyby Pani Wandzia wiedziała, że takhle błoto będzie, może by tego kożucha nie ubierała, bo jednak szkoda; długi, do ziemi, wyciera się tylko.

Na samą górę nie dojeżdżali, może dobrze nawet, bo tam stały same taksówki; najwięcej z Bochni, potem z Tarnowa, Dębicy, Nowosądeckiego, Krakowskiego, Katowickiego, Krośnieńskiego, Rzeszowskiego. Nawet z Łodzi i z Warszawy. Pół Polski się zjechało, a podobno tak jest codziennie.

Do góry idzie się jakieś piętnaście minut. Z jednej strony stoi budynek murowany z czerwonym dachem; poczę tu pobudowali, świetlicę, klub i co tam jeszcze. W środku leci droga, trochę wyżej, jakieś parę metrów od budynku, stoi krzyż. Tutejsi mówią, że postavili go 24 lata temu dla upamiętnienia Kazimierza Brodzińskiego poety, co tu mieszkał.

Najważniejszy jest ten krzyż. Trzeba go obejść dookoła i dopiero wtedy, jak się patrzy w górę, widać, że spod ramienia coś wystaje; właściwie nie coś, tylko twarz: z okiem, uchem, nosem, podbródkiem i brodą. Pani Wandzia widziała, pan Staszek też. Jeszcze się pana Zdziśka i pani Heni spytali, a oni orzekli: „No, chyba twarz”. Czyli nie huba tam rośnie, jak niektóre niedowiaraki mówią, tylko twarz ludzka. Dziwne bądź co bądź.

Pan Kazimierz, taksówkarz, jeździł tu już kilkadziesiąt razy; nieraz go nawet prosto spod garażu brali. Takie kursy się opłacają, bo zabiera się maksimum pasażerów, jedzie się i każdy płaci za siebie. Tak można jeździć. A i co ciekawego można się po drodze dowiedzieć.

Na przykład: ludzie mówią, że ten krzyż nie jest w ziemi wbity, bo nawet ziemi nie dotyka. Najstarszy człowiek w Królowce, co ma chyba ze sto lat, twierdzi, że przed pierwszą i przed drugą wojną światową też taki krzyż się pokazał. Czyli że jednak te przepowiednie mają coś z prawdy chyba. Albo takje

Oceany się wzburzą, woda zaleje lądy, ale nie wszystkie, Polska zostanie. Wulkany będą wybuchać. A zanim to wszystko się stanie, pokazywać się będą znaki”. Takie, jak ten w Królowce.

CUD W KRÓLOWCE

ZNAK

ZYGMUNT SZYCH

gadanie, które pan Kazimierz też na kursie podał, że pan Staszek, że jak jedna dotknęła, to zaraz ją sparaliżowało. Bo to nie jest zwykła twarz, tylko twarz Chrystusa. A to jeszcze nic; przyszło kiedyś trzech i chcieli temu zaprzeczyć. Udał się nawet do księdza, żeby temu zaprzeczył, ale ksiądz nie chciał. Poszli więc ssał pod krzyż i chcieli to z niego zdjąć. I co pan powie? Taką burzę rozpętało, że ci trzech mało nie pospadali. Jedna znowu chciała tej twarzy dotknąć; do-

królowka to przecież spokojna, była, nigdy tu tyle ludzi dzieli.

Janowa, co mieszka najbliżej krzyża, mogłaby nawet policzyć: najwięcej przyjeżdża w soboty i niedziele. Kiedyś siedziała i liczyła — w godzinę zjechało z tysiąc. A przyjeżdżali przez cały boży dzień do wieczora. Wieczorem na piętrze domu lampę od motoru zawieszili i wycelowali w to, co na krzyżu, żeby ludzie w ciemności mogli widzieć.



tyka i krzyczy: „Ludzie, to jest miękki!” Podobnie to rośnie cały czas. Z jednej strony jakby twarz, a z drugiej — jeszcze takie bez kształtu. Ale pewnie niedługo się uformuje.

Najgorzej jak przyjdzie wolna sobota albo niedziela. Ludzi ściga taka ciżba, że aż strach. Ale nie dziwota: każdy ciekawy, każdy chce widzieć na własne oczy. Najsamprzód przyjeżdżali z okolicy, tutejsi. Na drugi dzień, jak już było widać, że się coś wykształciło, ludzi zaczęło przybywać. Kiedyś tyle się ich zważyło, że góra ledwie wszystkich mogła pomieścić. A

Jakby tak liczyć, że w godzinę tysiąc ludzi przychodzi, do wieczora będzie ze trzydzieści tysięcy albo i więcej.

Jak się zaczęli stąd i zowad zjeżdżać trzeba było wyjaśniać Janowa wychodzi co jakiś czas i powiada co się w Królowce wydarzyło. Tak mówi: — Pokazało się w listopadzie Szli my drogą koło krzyża, a tu coś rośnie. Ludzie mówią najpierw „li, huba”. Ale patrzymy za parę dni: niby huba, ale jakaś dziwna. W środku oko ucho widać coś jakby nos i zaczęło się tak kształtować. Czekamy teraz, czy ukształtuje się druga strona.

Ludzie tak bez niczego nie chcieli wyjechać, no bo niby co powiedzieć potem — że się widziało znak? Kady może tak powiedzieć. To zaczęli w Królowce zdjęcia robić. Czarnobiałe, jakby kto chciał, kosztuje 30 złotych, kolorowe, z dorobionym z tyłu kościółkiem — stówę. Jak Janowa wyjdzie co raz przed dom i krzyknie: „Państwo, może byście jakie zdjęcie chcieli?” — to zaraz ciżba taka do niej leci, że ledwie ogonić się można.

Kiedyś w parę sekund sprzedała dwadzieścia zdjęć: powinno być 600 złotych, a było tylko 570. „Żebyście, ludzie, wiedzieli, już więcej zdjęć nie przyniosę! W takim świętym miejscu oszukiwać, jak wam nie wstydi!” Ale gdzie tam; za godzinę ludzie dawaj o zdjęcia molestować. To wyniosła znowu.

Raz był tu jeden taki; książkę przywiózł z kolorowymi obrazkami różnych grzybów, co na drzewach rosną, i mówi, antychrysta, nie dajcie się zbłądzić, to huba! Ale go nie słuchali. Dobrze policzyć, to w końcu pójść przez Królowkę z pół miliona ludzi, czyli coś w tym musi być. Świece zapalają, kwiatki pod znakiem kładą. To im Janowa tłumaczy: — Pokazało się w listopadzie. Szli my drogą koło krzyża...

Cud w Królowce trwał kilka tygodni i skończył się nagle, kiedyś nocy. Ludzie obudzili się i zobaczyli, że na krzyżu nic już nie rośnie. Huba albo — jak kto woli — twarz Chrystusa zniknęła. Szok był niemały. Nadal przyjeżdżali, wycieczki, nadal trudno było w promieniu kilkudziesięciu kilometrów o taksówkę, ale na krzyżu nic już nie rosnęło. Nie było znaku.

Minał chyba tydzień i Królowka zaczęła pustoszeć. Jeszcze od czasu do czasu ktoś tu zabłądził, pokazali mu krzyż, opowiedzieli, jak było, przypomnieli historię sparaliżowanej i tych, którzy chcieli temu zaprzeczyć, przyjezdny kiwał głową i wracał do domu.

Przyjeżdżało ich coraz mniej. Kiedy już całkiem ucichło, wybrałem się do Królowki raz jeszcze. Akurat jakiś człowiek uganiał się za piugiem w polu.

— Ano, nie ma. Zniknęło. Raz w nocy pokazały się błyskawice, a potem wszędzie ciemność. Nie było światła w żadnej chałupie. Rano budzimy się, idziemy pod krzyż: znaku nie ma...

Zapanowała pustka. Trzeba ją było czymś wypełnić. Po kilku dniach od zniknięcia miejscowi mieli, nie licznym już przyjezdnym, coś do zaskomunikowania: — To było tak: namawiali różnych, żeby tę twarz z krzyża zdjęli, ale nikt nie chciał. W końcu znaleźli więźnia, co odsiadywał dożywocie. Powiedzieli mu: „Zdejmiesz, to ci skrócimy karę i wyjdiesz na wolność”. Więzień się zgodził. Przyjechali w nocy i on to zdjął.

— I co potem? — pytam łagodnie.

— Panie! Sparaliżowało mu obie ręce i nogi. Odwieźli go do szpitala w Krakowie. Leżał, męczył się, jęczał z bólu. Najlepsi lekarze go leczyli, nie dali rady. Teraz chce pieszko iść z Krakowa do Królowki na pokutę, ale go nie puszczają...

— A z krzyżem co?

— Jak to zdjęli, po paru dniach na całej długości pojawiły się, takie jakby kulki, z tego-samego, co tamta twarz.

— To lzy, panie. A wyglądają jak paciorki różańca.

Pofatygowałem się do Królowki raz jeszcze. Od cudu minął rok. — Ten cud? Ano, było coś takiego. Kto tu nie zjeżdżał! A co by my mieli z tego mieć? Było, minęło... I po wszystkim.

Zapisałem wszystkie ludowe wersje owego cudu, winienem także przytoczyć tzw. oficjalną, posłyszana z ust naczelnika gminy Nowy Wiśnicz. Otóż — według niego — huba, kiedy już wyrosła w całej okazałości, została przez miejscowego artystę (w tajemnicy i podobno dla dowcipu) podmalowana. Dowcip rzeczywiście taki sobie, ale miejscowy artysta (nie udało mi się go odnaleźć) musiał być zdolny; pomalował hubę sprytnie i wszystko było jak żywe: uszy, oczy, nos, broda... No i pewnie przeżył niemałą satysfakcję ze swojego dzieła.

obcyzanie



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

katamarany. Po drugiej stronie rzeki widać rumuńskie miasto Calafat. Na porannym spacerze spotykamy starszego pana. Welko Atanasowa. Irena tytułuje go „Baj Welko”, co w Bułgarii jest oznaką wielkiego szacunku. Welko Atanasow od 1914 roku nieprzerwanie pracuje w Okręgowym Komitecie BPK i pełni wiele społecznych funkcji. Jest on także autorem paru książek historyczno-wspomnieniowych; we wrześniu ukazała się kolejna — „Jeden z osadzonych na śmierć opowiada”.

— Policja zatrzymała mnie 14 marca 1944 r. — wspomina Baj Welko — a w więzieniu znalazłem się dopiero 13 lipca, po ogłoszeniu wyroku skazującego na śmierć. Codziennie się do niej przygotowywałem. A raczej każdej nocy, gdyż wyroki wykonywano o trzeciej nad ranem. Wtedy albo całe więzienie huczało od stukotu więziennych drewniaków o ściany cel, albo kończył się koszmar niepewności.

4 września 1944 r., gdy losy faszystowskiego rządu Bułgarii wydawały się przesądzone, z Sofii przyszła zapowiedź wykonania wyroków śmierci. Od szubienicy wyratował skazanych... prokurator, który — przerażony doniesieniami z frontu — salwował się ucieczką w góry. Tymczasem, zgodnie z obowiązującym prawem, egzekucja wymagała jego obecności. Prokurator przeczuł dobrze: już szóstego rano radio informowało, iż rząd wstrzymał wykonywanie wyroków. Następnego dnia zdjęto więźniom kajdany, a 8 września w Sofii wybuchło powstanie, w Widinie zaś ludność wyległa na ulice, otworzyła bramy więzienia i Welka Atanasowa oraz jego kolegów wyniosła zeń na rękach.

Pamięć narodowa ożywa, jak i u nas, przede wszystkim we wrześniu. W ub. roku obchodzono uroczystości sześćdziesięciolecie powstania z 1923 roku, w bieżącym — fetowano zwycięstwo w 1944.

Gospodarze zaplanowali mi udział w „spotkaniu trzech pokoleń”. Miałem Oreszec, a Piero i Włodek zaczęli wypatrywać jakiejś drożynki wiodącej w góry.

dość. Nie dożył lat dziewiętnastu”. I dalej toczyła się opowieść o niezwykłych czynach zwykłych ludzi. Malcy nieruchomieli. Niejeden z dorosłych otarł w zamyśleniu łzę.

Pojawienie się kapeli ludowej automatycznie zmieniło nastrój. Na koczach pojawiły się wiktualie, domowe wino i rakija.

Niestety, nie mogę zostać dłużej, gdyż Włodek dba o precyzyjne realizowanie programu. Jedziemy więc do Belogradziku. W jego okolicach — słynne skały o przeróżnych kształtach i związanych z nimi nazwach: Adam i Ewa, Mnich, Madonna, Niedźwiedź, Wielbłąd. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego gród otoczony czerwono-ugrowymi lub buro-żółtymi skalami nazywa się „białym miasteczkiem”. Niedostępne skały na południowych krańcach Belogradziku zostały jeszcze w I wieku naszej ery włączone w system umocnień rzymskiej twierdzy, zachowanej do dziś, a przez wieki bardzo rozbudowanej. Twierdza zwie się Kaletto i jest jedną z największych w Bułgarii (10 kilometrów kw. powierzchni).

Jeszcze starszym zabytkiem Belogradziku sprzed 3-4 milionów lat są jaskinie Magura. Piero będzie czekać na zewnątrz ponad godzinę, za żadne skarby bowiem nie chce wejść do podziemnego labiryntu. Mnie też ostrzega: — Zimno tam, mokro, lepiej już pójść na koniak lub na mecz. Podobno często zdarzają się awarie elektryczności. Co wtedy zrobisz?

Oślizły chłód i mokre kamienie pod gumowymi „japonkami” sprawiają, że trochę rozumiem zastrzeżenia sympatycznego kierowcy. Jednak piękne stalaktyty i stalagmity w imponujących wielkościach, zmyślnie skalne rzeźby, „skamieniałe potoki”, każą zapomnieć o wszelkich niedogodnościach. W pewnej chwili gaśnie światło. Nie jest to jednak zapowiadana przez Piera awaria elektryczności, lecz zamierzony efekt. Wtedy dopiero można bowiem poznać prawdziwe ciemności, do których oko ludzkie nie może się przyzwyczaić, i docenić — światło, szczególnie że pojawia się w jednym kącie sali, eksponując

ra produkcję komżyńskiego browaru, ale... bez takich poświęceń. Z coraz większym zaciekawieniem czekam na spotkanie z zespołem redakcyjnym „Czerwonego Sztandaru”.

Przed blisko rokiem redakcja przeniosła się z zabytkowej, lecz nieco ciasnej kamieniczki do obszernego budynku Okręgowego Komitetu Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Położony w centrum starego Widina — przyciąga oko wspaniałą, nowoczesną architekturą. Jednak dziennikarze, choć warunki pracy zdecydowanie się poprawiły, żalują, że w tym nowym gmachu

Kozłodoju powstała pierwsza bułgarska elektrownia atomowa w Belogradziku — jedyna w kraju fabryka aparatów telefonicznych, w Eomie — nowoczesna cukrownia budowana przy pomocy Polaków. Tymczasem od lat wsie pustoszeją. Wsypa je miasto, wciąż nienasycone. Dla ratowania pól każdy zakład obowiązkowo „bierze w opiekę” jakiś kompleks rolny; udziela bezpłatnych urlopów, co się bardzo opłaca, gdyż zarobki w kombinatach rolnych są wysokie. Mimo to problem pozostaje palący.

W Zakładach Konfekcyjnych „Wida” dłużej niż hale oglądam urzą-



przestała ich odwiedzać barwna i czasem nieco rozkrzyczana „klientela”.

Redaktorem naczelnym „Czerwonego Sztandaru” jest Kirilka Peszeva, kobieta młoda, bardzo elegancka i nadzwyczaj taktowna. Wcześniej pracowała w Komitecie Okręgowym BPK. Jej prawą ręką jest Denka Gospodinowa, znakomity fachowiec w dziennikarskim rzemiośle, a prywatnie — żona i sekretarka Komitetu Okręgowego Partii.

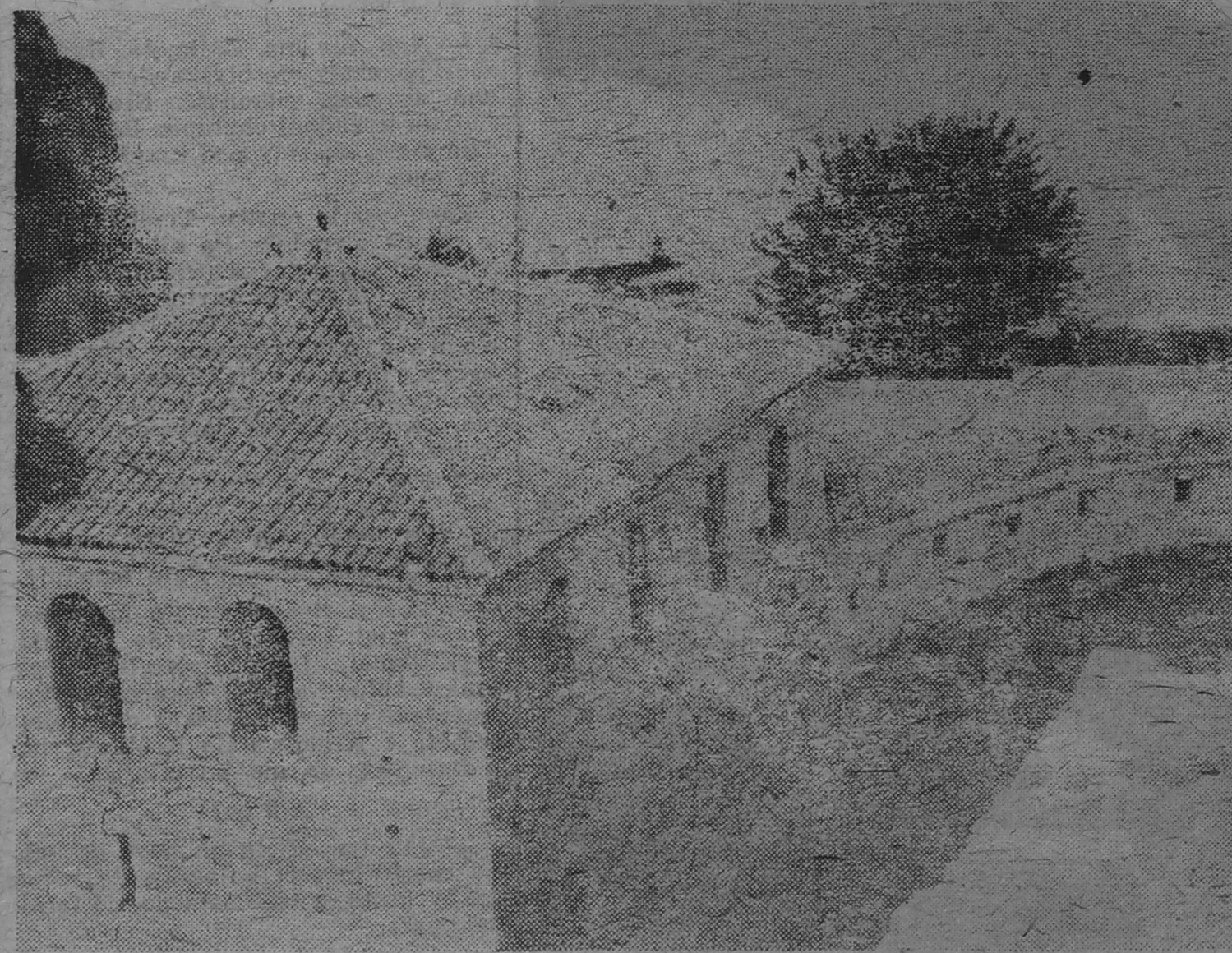
dzenia socjalne: stołówka z 35 procentową zniżką, bufet, supermarket, sklep patronacki, księgarnia, poliklinika i... 42 punkty usługowe — nie tylko pralniczy, szewski itp., lecz i różnego rodzaju administracyjne. Jest też świetlica, klub młodzieżowy, trzy przedszkola, pływalnia. Jak by tego było mało — Zakładowy Dom Kultury i klub sportowy. A przecież nie ma tu nic ponad to, co jest przewidziane odpowiednimi rządowymi programami. Jeden z nich, zwany „Einstein”, ma zapewnić „równoczesny rozwój kultury technicznej społeczeństwa z zachowaniem przez nie wartości humanitarnych i kulturowych”.

Różne bywają tu formy obcowania ze sztuką. Robotnicy aktywnie ją uprawiają w różnych sekcjach zakładowych domów kultury, artyści wyjeżdżają do fabryk jako tzw. brygady twórcze (rzeźbiarz, malarz, dziennikarz, poeta), a robotnicy stają się modelami, źródłem natchnienia do ich dzieł. O ile twórczość robotników jest w Polsce rzeczą normalną, o tyle „brygady twórcze” nieco mnie zaskoczyły.

Widin. Pierwotna nazwa Bydin, co znaczy „to, które ma być” — miasto przyszłości. Wrózba ta historycznie raz już się sprawdziła: Widin był przecież w XIV w. stolicą II Cesarstwa Bułgarskiego.

Większość mieszkańców kojarzy jednak jego nazwę z legendarną władczynią miasta, Babą Wida. Jej ojciec miał podzielić swe ogromne włości między trzy córki: Kulę, Gynzę i Wida. Wszystkie miały ambicję założenia grodów noszących ich imiona. Niestety Kulę i Gynzę nie zdołały ich doprowadzić do świetności, gdyż mężowie — lekkoduchy roztrwonili majątki. Wida została panną i udało się jej zdobyć warowny zamek i miasto. Wśród budowniczych zamku znalazł się niesłychanie mądry i piękny architekt, w którym Wida się zakochała — z wzajemnością, lecz bez szans na małżeństwo, choćby z powodu jej dumy i niechęci do skandali. Gdy budowa zamku dobiegła końca, Wida, która nie mogła pogodzić się z myślą o rozstaniu z ukochanym, a co gorsze — z jego ewentualną nieśmiałością, kazała go zabić, a ciało wrzucić do Dunaju. Tej samej nocy włosy pięknej, młodej władczyni pobielały i odtąd zwano ją Babą Wida.

Zamek przetrwał do dziś; widnieje też w herbie miasta obok kości winogron i ryb, którymi dawni mieszkańcy zawdzięczali swą pomyślność. Ja odebrałem je również jako symbol tamtejszej gościnności. Podczas mojej wizyty w Widinie nie raz pomyślałam sobie bowiem, że entuzjaści polskiej gościnności nie mieli okazji poznać bułgarskiej.



DANUTA WRONISZEWSKA

BABA WIDA

Na rozległej polanie zgromadziło się już sporo ludzi. Przyszły całe rodziny, czasem trzy- lub nawet czteropokoleniowe. Transparent, pek flag, mikrofon, za którym ustawili się kombatanci, i „zielona sala” były gotowe. Nastąpiły okolicznościowe przemówienia, a później — wspomnienia Iwana Dimitrowa, jednego z nielicznych ze słynnego oddziału im. Georgi Bankowskiego. Osobista i skromna relację byłego partyzanta uzupełniły poetyckie wizje największego współczesnego poety bułgarskiego, Penio Peszewa, oraz — nieco chropowate — strofy twórców-amatorów, takich jak Witko Iwanow, jeden z dowódców oddziału im. Bankowskiego. Aktorzy widzińskiego teatru recytowali: „Miał sześćnaście lat, gdy został komunistą. I poznał prawdę. Miał siedemnaście lat, gdy został partyzantem. I poznał życie. Gdy miał lat osiemnaście, został ojcem. I poznał ra-

fragment skalnej ściany, zwanej „Bagdad w porannym słońcu”.

Jaskinie Magura to nie tylko „uczta dla duszy”. Naukowcy prowadzą tu swoje badania — znaleźli już różne przedmioty z żelaza i gliny, kości, a także odkryli unikalne na Bałkanach rysunki naskalne. Groty są również wykorzystywane do leczenia chorych na astmę oraz... leżakowania win, przede wszystkim szampanów „Magura”.

— Niedawno winiarnia popełniła jakiś błąd w technologii — mówi Włodek — i szampany, zamiast spokojnie leżakować, zaczęły samorzutnie „strzelać”. Producenci zdecydowali się wyprzedać następną partię po lewie za butelkę. Kilku kolegów kupiło po parę skrzyniek, żeby ratować zakład.

Doceniam głośno to poświęcenie, lecz w duchu dziwię się nieco. Wprawdzie i moja redakcja popie-

Jedyny mężczyzna w kierownictwie to uznany poeta Dulinko Dulew. Rozumie nieco po polsku, gdyż w młodości jego serce zakotwiczyło się na jakiś czas w naszym kraju; tutaj jednak bije dla żony, mieszkającej w odległym Razgardzie. Cichy i pracowity Nikola Jakimow jest fotoreporterem. Kulturą i oświatą zajmuje się Lora (czyli Laura) Włodimirova, która pasjonuje się również historią regionu i areobikiem (czynnie). Działem partyjnym kieruje Ilina Georgiewa, rolnym — Christo Christew, a ekonomicznym — Cwetan Georgiew.

Widnińscy koledzy — podobnie jak my — narzekają na przepracowanie. Zespół jest nieliczny, a gazeta wychodzi trzy razy w tygodniu. Okręg widziński nie skąpi dziennikarzom tematów. Największe problemy roduzi szybki rozwój przemysłu — w samym Widinie, ale i mniejszych miasteczkach. Np. w 10-tysięcznym

relacje





w XXI wieku



Lubiły babunie snuć baśni przedziwne
z przedziwnym uśmiechem na twarzy,
a ja ci opowiem historię prawdziwą,
co dla nas niedługo się zdarzy:

W XXI wieku będziemy już dorośli,
W XXI wieku musimy świat uprościć.
Przyjaśni złotych orzech przytoczy się
pod próg
i świat zapomni może, co znaczy słowo
„wróg”.

Chcę, abyś doniosłość mych myśli odczuła,
więc nie śmieję
Być może przesadzam w niektórych
szczegółach,
lecz w gruncie się rzeczy nie mylę.

W XXI wieku na pewno będzie ładnie,
W XXI wieku postarzeć się wypadnie.
I snownu przyjdą młodzi, i wrzucą drugi
bieg.

Posłuchaj — już nadchodzi XXI wiek!

dzień chłopca

Mam do was pewne zastrzeżenia
w związku z ostatnią klasówką
z fizyki, ale obiecałście poprawę,
więc wybaczam. Robimy tę
dyskotekę? — zapytała od nie-
chcenia nasza wychowawczyni na, jak
zwykle nudnej, godzinie wychowawczej.

— Tak, tak, oczywiście — padły nie-
śmiałe potakiwania z różnych stron klasy.

— Ja się zajmę całością imprezy, Paweł,
jak i w ubiegłym roku, zorganizuje aparaturę,
a Joanna będzie odpowiedzialna za
część artystyczną — wyrecytowała, zaw-
sze aktywna, Jola.

Od tej pory wszyscy mówiliśmy tylko o
„Dniu Chłopaka”. Na zbiórce podzieliliś-
my się na grupy; ustaliliśmy, kto upiecze
ciasto, kto kupi paczki, a kto — oranżadę.
Dziewczyny wymieniały się sukienkami,
chłopcy montowali kolumny głośnikowe.
Wszyscy byli tak podekscytowani, że nie
mogli się uczyć.

Wreszcie nastał dzień 30 września! Nikt
nie słuchał porannych wywodów nauczy-
cieli. Nie mogliśmy doczekać się godziny
siedemnastej. Kiedy wszystko było już
przygotowane, a my — wystrojone i wy-
pucowane, wpuściliśmy do klasy chłop-
ców.

„Wszystkiego najlepszego chłopcom, w
dniu ich święta, życzą dziewczęta” — gło-
sił napis na tablicy. Stoły kusily ciastka-
mi i oranżadą; w kącie klasy aparatura
czekała na swoją kolejkę. Jolka — klaso-
wy błazen — śmiesznie opowiadała kawa-
ły. Odegrałyśmy kilka skeczów. Wszyscy
się rozluźnili i zapowiadało się na dobrą
zabawę. Powoli znikwały z talerzy pyszno-
ści. Wtedy poszły w ruch kolorowe miga-
cze i cała aparatura. Dziewczęta zaczęły
podrygiwać w miejscu, a chłopcy... pospu-
szczali głowy. Wychowawczyni chciała
jeszcze sytuację ratować i prosiła chłop-
tysiów do tańca. Ci poczuli się urażeni i
zbojkotowali swoje święto. Byliśmy wście-
kle, bo tak bardzo czekałyśmy na tę za-
bawę.

MONIKA WOLSKA, kl. VII
ŁOMŻA

A jak wyglądają Wasze zabawy? Napisz-
cie.

Widzę: dymią fabryki, ryczą motory, w kosmos szybu-
ją rakiety. Pecznią arsenały. Ale jeszcze śpiewają ptaki.
A za sto lat?

II

Zamykam oczy: pod powieką szczytki wielkich bu-
dowli. Nigdzie śladu życia. Nie ma nawet zwycięzców woj-
ny, która trwała zaledwie kilkadziesiąt minut.

III

Zamykam oczy: zaczęła się wielka przebudowa świa-
ta. Ludzie mówią jednym językiem. Wszystko rośnie pod
ręką człowieka współdziałającego z przyrodą. Pomagają mu
dziesiątki wspaniałych urządzeń, gdyż niemal wszystkie ta-
jemnice nauki zostały rozwiązane. Nauczyciele bledną się
nad sposobem wyjaśnienia dzieciom słowa „walka”. Każdy
ma to, co sobie zamarzy. Ja również. Co? Nikt nie snosi
narzuconych marzeń, tym bardziej, że każdy, kto je ma,
może — jak ja — zamknąć na chwilę oczy.

ANITA MORAWSKA, kl. VII
RUTKI ZABOROWO



Rys. Ewy Stańczuk, kl. V Ciechanów

MYSZ
DESZCZOWA

Biegnie Mysz Deszczowa

przez deszczowy świat,

a kropelki deszczu

biegną za nią w ślad.

Poczekaj, Myszko!

Poczekaj!

Przed srebrzystym deszczem

nie uciekaj!

Nie poczekam —

Mysz Deszczowa woła —

bo nie wzięłam z sobą

dzisiaj parasola!

DOROTA GELLNER

TO LUBIE TO LUBIE TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE

Bardzo lubię wszystkie zwierzęta, ale moim jedynym czworonożnym przyjacielem jest chomik. Jesteśmy razem już ponad rok. Ponieważ mój przyjaciel ma zawsze lśniące, miękkie futerko, nazwałam go Perelka.

Perelka ma swój własny domek — jest nim szklane akwarium. Ona nie może przebywać w drewnianej skrzyneczce, gdyż swoimi bardzo ostrymi i twardymi ząbkami z łatwością wygryzłaby w niej



a ja fotografuję...

dziurę i wydostała się na zewnątrz. Wtedy mogłaby pozostawić po sobie dużo śladów w chodniku, a może nawet i w moich butach.

Do akwariów wrzucam chomikowi posiekane ligniny i różne rodzaje pożywienia. Z wielkim apetytem zjada wszystko. Chyba tak samo mu smakuje słonecznik, jak i marchewka czy chleb. Zawsze jest zadowolony, gdy jego spiżarnia nie świeci pustką.

Perelka jest bardzo zabawna, a najśmieszniej wygląda wtedy, gdy napycha sobie worki jedzenia. Robi to tak szybko i tak zachłannie, jakby ktoś za chwilę chciał jej wszystko odebrać. Kiedy się już naje, jest gruba i groźna. Mimo obżarstwa jest bardzo ruchliwa. Uwolniona z akwariów — szybko biega na swoich krótkich łapkach. Wtedy wygląda tak, jak gdyby się toczyła na małych kółeczkach.

Bardzo dba o swój wygląd. Swoje rude futerko często myje bardzo starannie. Jej toaleta trwa całe dziesięć minut.

Perelka była już matką i urodziła mi piętnaście małych chomiczków.

MAŁGORZATA MATEJUK, kl. IV
GRABOWO



Zdjęcie z kroniki Szkoły Podstawowej nr 4 w Łomży złożonej w 1918 roku przez Macierzą Polską. Podpisane: „Rok szkolny 1935/36. Klasa VII słucha audycji radiowej”. Autor nieznany.

TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE

TO LUBIE TO LUBIE TO LUBIE



wieża goniec hetman

Każda figura szachowa porusza się na szachownicy w ściśle określony sposób. Wieża może się poruszać po liniach poziomych i pionowych. Wolno jej też przesuwac się o dowolną ilość pól pod warunkiem, że na drodze nie stoi żadna bierka własna, tzn.: takiego, jakiego jest wieża. Obcą figurę lub pionka (odmiennego koloru) może wieża zbić, a więc zdjąć tę bierkę z szachownicy i stanąć na polu przez nią zajmowanym.

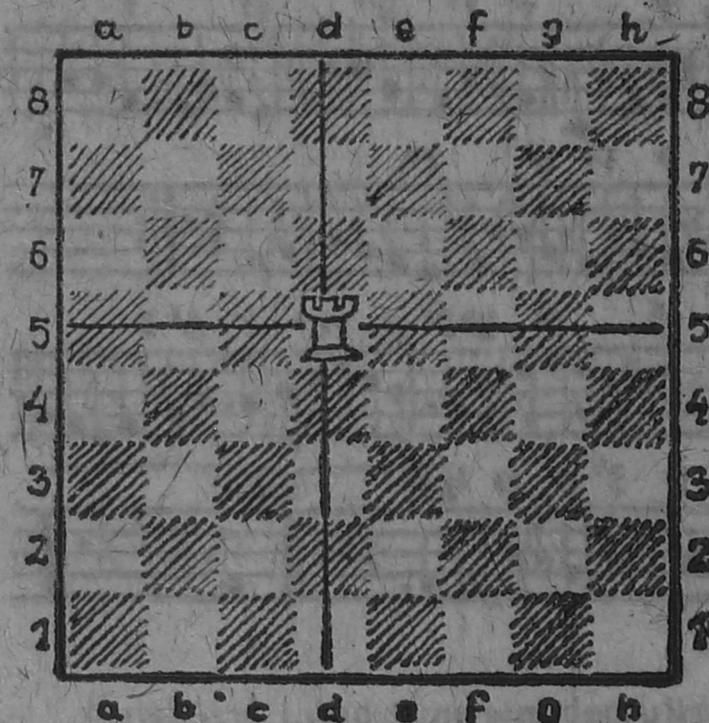
Przy rozpoczęciu partii wieże są „zamurowane” przez własne figury. Dopiero kiedy np. goniec i skoczek wejdą do boju, do gry może się włączyć również wieża, która nabiera siły przeważnie dopiero w grze środkowej. Jest ona niezwykle groźną figurą, gdyż może walczyć na

wszystkich 64 polach, a więc i białych, i czarnych.

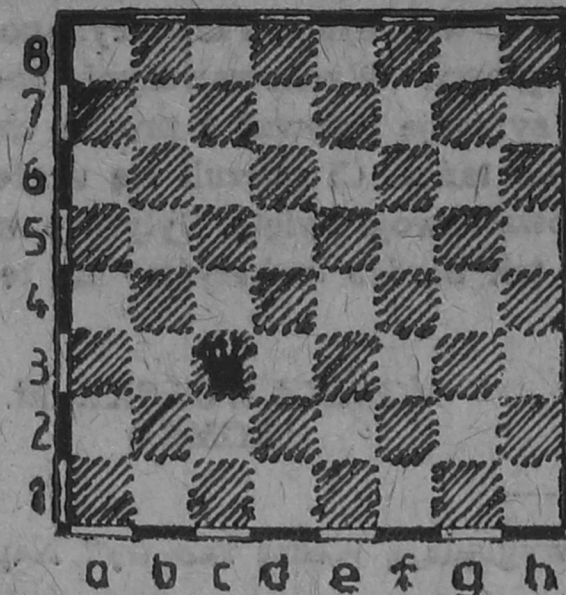
Goniec porusza się tylko po liniach skośnych, czyli diagonalach. Może zabić każdą nieprzyjacielską figurę stojącą na jego drodze (z wyjątkiem króla), ale każda bierka jego koloru może zablokować mu ruch.

Z pozycji wyjściowej goniec może wejść do walki dopiero wtedy, kiedy pionki stojące skośnie do jego stanowiska zrobią mu przejście. Jeśli goniec na początku partii stoi na polu czarnym, może się poruszać tylko po polach czarnych. Ta sama zasada dotyczy gońca białego, który nigdy nie ma prawa znaleźć się na polu czarnym. Tak więc każdy goniec ma do dyspozycji tylko pół szachownicy — albo 32 pola czarne, albo 32 białe.

Hetman jest bardzo silną figurą, bo łączy w sobie właściwości wieży i gońca. Porusza się tak, jak te dwie figury razem, czyli po liniach poziomych, pionowych i skośnych. Jest on — po królu — najważniejszą i najcenniejszą bierką, więc należy uważać, aby w jakiś nieopatrzny sposób nie narazić jej na zabicie przez przeciwnika.



zadanie dla zaawansowanych



Zbadaj, jaką minimalną liczbę ruchów wykona hetman, który — posuwając się od „c3” — przewędrował wszystkie pola szachownicy, ale przez każde przeszedł tylko raz i nigdy nie przecinał trasy swoich ruchów. (A.S.)

Rozwiązania należy przysyłać pod adresem „Kontakików” do końca listopada.



ZNAKI

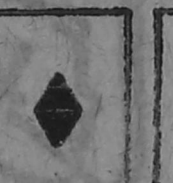
$$20 \square 10 \square 3 \square + 7 \square 3 \square 5 \square 4 \square = 20$$

$$5 \square 2 \square 3 \square + 4 \square 6 \square 5 \square 5 \square = 20$$

$$10 \square 10 \square 3 \square - 2 \square 1 \square 3 \square 3 \square = 20$$

W puste kratki wpisz znak plus lub minus tak, aby w każdym rzędzie wynik wynosił 20.

KRZYŻÓWKA

	1	2	3	4
A				
B				
C				
D				

Poszczególne karty zastąp literami wchodzącymi w skład wierszyków „KURT LOMBA” w ten sposób, aby powstała krzyżówka, w której siedem haseł będzie nazwami geograficznymi. Pamiętaj, że jednakowym kartom odpowiadają te same litery, karta biała oznacza spółgłoskę, a wszystkie kara to samogłoski. (A.S.)

Wśród autorów poprawnych rozwiązań, nadesłanych do końca listopada, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie wierszykowej krzyżówki książki wylosowali: HANNA DĄBKOWSKA (Jankowo Wodzisławski), ZENON DULEWICZ (Łomża), BOGUMIŁA JABŁONSKA (Łomża), LIDIA MARCINKOWSKA (Białystok), TADEUSZ SUCHOBOLSKI (Grajewo).

„Kontakci” redaguje MARIA BAUCHROWICZ-TOCKA.

Autorami prezentowanych prac opiekują się nauczyciele: WIEŚŁAWA DOMALEWSKA, BARBARA KOMOSA, HALINA LESZKA, WALERIA LICZKOWSKA.

Rysunki STANISŁAWA TOMASZKA.
Reprodukcje GABORA LÖRINCZEGO.

ZAGADKI

Rośnie w ziemi do jesieni,
później w cukier się zamieni.

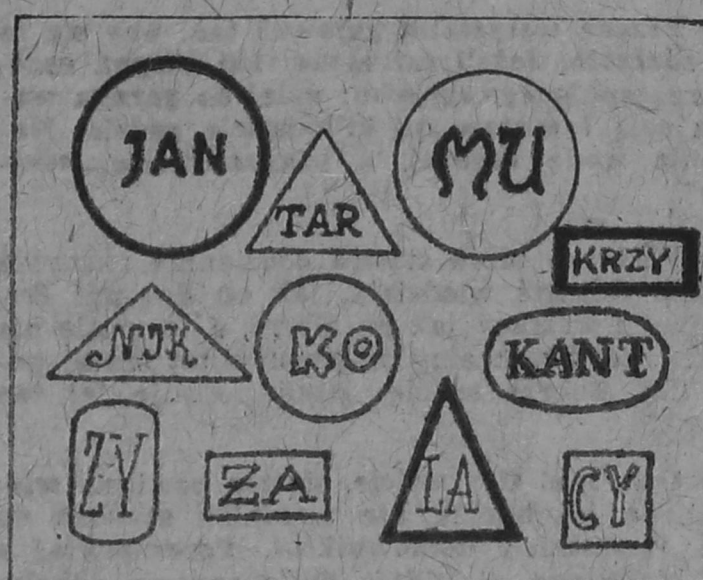
★

Taka jest z natury wścibskość
że nam z oczu tży wycisła.

★

Nie je, nie pije,
a chodzi i bije.

ZGADYWANKA



Z porozrzucanych sylab, wpisanych w różne figury geometryczne, ułóż tytuły trzech książek Henryka Sienkiewicza.

(ROBERT KURZĄDKOWSKI, kl. V, Grabowo)

kontakci

MAGAZYN DLA DZIECI

11

1984



Kto tak pięknie na liściach gra,

Kto wymyśla mazurki jak Szopen,

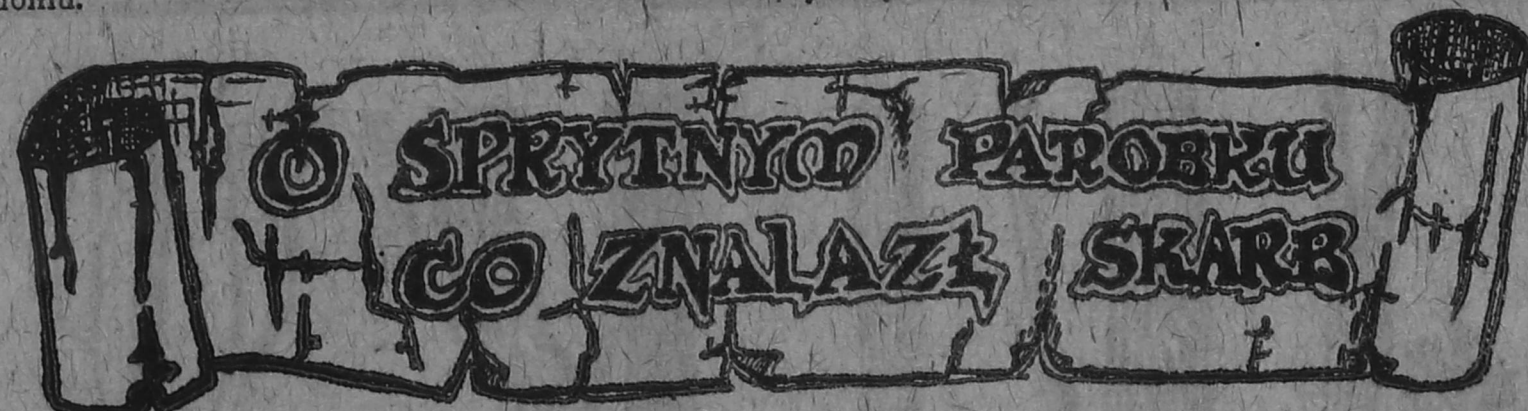
Kto w starych spróchniałych pniach ma

Mgliste słońce? — wietrzny listopad.

listopad

ELŻBIETA JANKOWSKA, kl. VI
KOSOWIZNA (woj. toruńskie)

Pewien parobek orząc rolę bogatego pana, zawadził sochą o garnek, w którym znajdowało się złoto. Szybko wybrał pieniądze do worka, wieczorem przyniósł do domu i ukrył w piwnicy. Parobek miał jednak bardzo ciekawą żonę, która ponadto lubiła pyłować językiem, tak że wszystko, co wiedziała, to i powiedziała. Wobec tego sprytny chłop postanowił nic jej nie mówić o znalezionym skarbie, a na wszelki wypadek — sprawić, by nie wierzone kobiecie, gdyby nawet coś wypaplała. Dlatego jeszcze tego samego wieczoru, udając się na połów ryb, złapał w lesie lisa, wsadził do worka i przyniósł do domu.



— Widzisz, żonko — mówi — złapałem dziś w jeziorze, zamiast ryb, lisa. Ale nie mów o tym nikomu. Zabijemy go, a ze skórki będziesz miała piękny kołnier.

— A ryb nie ma? — zapytała żona.

— Nie, bo wszystkie pofrunęły na południe.

Chyba strzydła im wyrosły czy co?

Po wieczorze parobek wyszedł, by nakarmić konie, a żona jego położyła się spać. A że miała kamienny sen, parobek po cichu nanosił do izby wody, że sięgała do kolan. Żonie zaś wytumaczył, że nastąpił nowy potop, ale znowu zakazał jej o tym komukolwiek wspominać. Na drugi dzień parobek pojechał do miasta, kupił ubranie, kożuch i buty, a żonie — piękną suknię, chustę, korale i buciki. Zdziwiła się bardzo, skąd mąż wziął tyle pieniędzy na te cuda. Za-

częła go o coś podejrzewać i śledzić. Kiedy więc pewnego dnia wszedł do piwnicy, by wybrać z garnka trochę złociszów, poszła cichutko za nim i sprawa się wydała.

Kobieta jakiś czas milczała, chociaż trudno jej było trzymać język za zębami. Wreszcie sąsiadce, która podziwiała jej strój, zwierzyła się pod wielkim sekretem, że mąż znalazł na polu pańskim wielki skarb. Sąsiadka zapewniała, że nie puści pary z ust, ale i ona nie wytrzymała: powiedziała w tajemnicy drugiej sąsiadce. Ta znowu innej — i tak wiadomość doszła do pana, który zawałał parobka i kazał mu skarb oddać. Gdy chłop się wypierał, pan oddał sprawę do sądu.

Głównym świadkiem była, oczywiście, żona.

— Czy mąż znalazł skarb? — pyta sędzia.

— Tak, znalazł dużo, dużo złota! — odpowiada.

— A kiedy to było? — pyta sędzia dalej.

— A to wtedy, wysoki sędzio, kiedy był u nas potop, a mąż złapał w wodzie lisa, bo rybom wyrosły skrzydła i odfrunęły na południe jak bociany.

Sędzia kiwał głową, a ludzie hamują śmiech.

— Panie sędzio — odezwał się parobek — ona znowu coś tam bajdoli od rzeczy. Przecież ryby są w wodzie, a potopu nie było. Lisa co prawda zabiłem, ale w lesie.

Stwierdził tedy sędzia, że kobieta jest niepełna rozumu, i parobek proces wygrał.

MARIA ZIENTARA-MALEWSKA



jak osioł



Rys. Marcina Górskiego z Łemby

BARTEK: — Z moim kolegą w ogóle nie można porozmawiać. Co chwila woła: „Coś ty, głupi!”, „Bzdury gadasz”, „Chrzanisł!”. Czy wyobrażasz sobie, jak ja się wtedy czuję?

● Wyobrażam sobie. Takich przemądrzałów spotykam bardzo często. Najlepiej przestać się nimi zajmować; niech szukają równych sobie do wzajemnych „przerwynek”. Może wreszcie przekonają się, że są na świecie mądrzejsi od nich.

MICHASIA: — Co robić z przypalonym garnkiem?

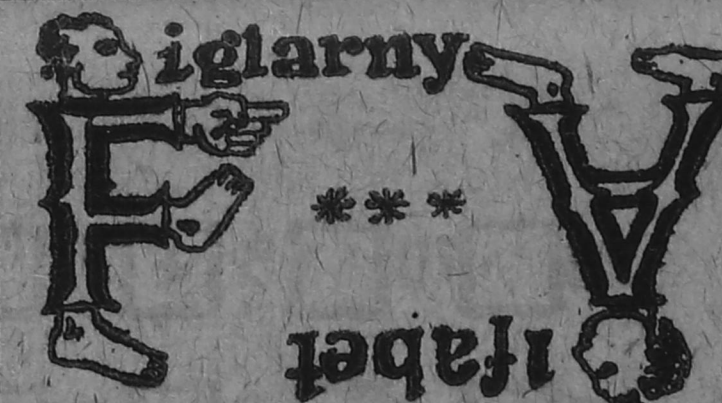
● Przede wszystkim gotować tak, aby się to nie zdarzyło. Jeżeli już masz taki kłopot, spróbuj następującego sposobu: nalej do garnka wody z solą i postaw na kilkanaście godzin. Następnie wodę zagotuj, a przypaleniuna „odejdzie”.

PAWEŁ: — Moja siostra codziennie nastawia budzik. Gdybyś wiedziała, jak on dzwoni! Budzimy się wszyscy jak na alarm, a to wcale nie znaczy, że też chcemy wstawać o tej samej porze. Czy dobrze zrobię, jeżeli popsuję jej ten zegar?

● Och, nie! Oczywiście, siostra powinna wiedzieć, że jej budzik nie powinien stawiać na nogi wszystkich domowników. Porozmawiaj z nią; może ona nie zdaje sobie sprawy z hałaśliwości swego zegara?

MAGDA: — Mam skórzaną torbę, którą noszę od lat. Czy można ją jakoś odnowić?

● Oczywiście. Przedmioty z gładkiej skóry (torby, płaszcze, kurtki, paski) odświeża się pocierając zabrudzone miejsca (przeciętym na pół świeżym ziemniakiem lub świecą. Po wyschnię-



AGNIESZKA: — Osta widziałam w ogrodzie zoologicznym w Poznaniu; jest trochę podobny do konia, tylko że mniejszy i ma bardzo długie uszy.

PIOTR: — To bardzo uparte zwierzę, bo o człowieku też się mówi, że jest uparty jak osioł.

CELINA: — Jak nie nauczyliśmy się odmiany przez przypadki, to pani na nas mówiła, że jesteśmy skochanymi osłami i nieukami.

AGATA: — Stary osioł to mój tata; mama tak do niego mówi, kiedy ją zdenerwuje. A tataś się z nią spiera, że wcale nie jest stary.

WALDEK: — Dziadziuś mi opowiadał, że jak on chodził kiedyś do szkoły, w klasie była taka specjalna osła czapka. Ona była zrobiona z papieru i miała bardzo długie uszy. Tę czapkę zakładał nauczyciel słym uczniom, żeby się wstydzili, bo wtedy każdy z nich się śmiał.

MIKOŁAJ: — Coś się twojemu dziadziusiowi pomylilo, albo nigdy do szkoły nie chodził, bo mój opowiadał o osłej ławce, a tej się nie da na głowę włożyć, tylko się w niej siedzi za karę.

MALGOSIA: — W zeszycie są osłe uszy; to to takie brudne i pozaginane rogi.

radę
mądrej
Gochy



ciu przetrzaskaj terebkę pastą do butów w odpowiednim kolorze i wypoleruj skórę szmatką flanelową lub wełnianą.

HALINKA: — Kolega zaprosił mnie do kina. Często tak się składa, że nie możemy wybrać się na film razem, więc jak mu się odwzajemnić za ufundowany bilet?

● Nie musisz iść do kina, żeby rachunek był równy. Zaproś go na rurkę z kremem, lody lub na dyskotekę. Ważny jest gest, a nie coś za coś.

ARTUR: — Jak wręczać kwiaty: w opakowaniu czy bez?

● Myślę, że obdarowywanemu będzie przyjemniej, gdy otrzyma kwiaty, a nie pakunek przewiązany wstążeczką. Można je natomiast wręczać w przesroczonym papierze. I jeszcze jedno: bukiet wręcza się kwiatami do góry, a nie łodygami — jak świeżo złowionego szczupaka.

FILIP: — Czy mówić na ulicy „dzień dobry” siostrze albo bratu?

● To jasne! Chyba nie przejdziess obojętnie obok ludzi, z którymi mieszkasz pod jednym dachem?

DROBIAZGI

Szamponu do włosów nie ma i to z takich powodów, o których lepiej nie myśleć, bo szlag może trafić człowieka na miejscu. Ale myślenie i mycie głowy to dwie zupełnie różne sprawy. Pierwsza jest czynnością abstrakcyjną, a więc niewymierną, toteż i nie zawsze pożyteczną. Druga dotyczy higieny osobistej, znacznie ważniejszej w kontaktach międzyludzkich. Wyobraźmy tylko sobie redaktora Wajszczuka, który przed kolejnym występowaniem w telewizji nie umyłby głowy. Któż wtedy będzie słuchał jego światłych wywodów historyczno-filozoficznych? „Głowa — mawiała pewna moja znajoma — nie jest może najważniejszą częścią ciała, ale też powinna być czysta”.

Powyższe rozważania prowadziłem w wannie, w której człowiek spędza jedyne w miarę bez troski chwile, trzymając w ręku litrową butelkę szamponu „Famili size” zakupionego w „Pewencie”, za bony zdobyte legalnie na czarnym rynku. Butelka miała kształt raczej znormalizowany, z tym, że zarówno w dół, jak i na górze, poniżej szyjki, konstruktor flaszki zaprojektował niewielkie wklęsłości, w które uchodzą opuszki palców.

— Niby drobna rzecz — myślałem z podziwem — a ile w tym logiki! Ręka człowieka siedzącego w wannie przeważnie jest śliska, trudno byłoby utrzymać w niej ciężką butelkę, gdyby właśnie nie te fizjologiczne odciski. Że też są na świecie różne takie kraje — myślałem dalej, splukując głowę letnią wodą — w których już dawno rozwiązano problem szamponu, a teraz myśli się nie o tym, co zrobić, żeby go nie brakowało, ponieważ rok temu było za dużo, tylko o wygodzie użytkownika, czyli potencjalnego nabywcy.

Jak się wydaje, jest to cecha charakterystyczna wszystkich państw rozwiniętych, z cywilizacją przemysłową na wysokim poziomie. Konstruktorzy zarówno ciężkich maszyn, jak i najprostszycy urządzeń gospodarstwa domowego, prześcigają się w pomysłach, najdrobniejsze udogodnienia ułatwiające życie traktowane są z powagą i na serio. Jednakże w tych właśnie krajach

ergonomia, czyli nauka zajmująca się badaniem przystosowania urządzeń technicznych do właściwości fizycznych i psychicznych człowieka, zajmuje poczesne miejsce. U nas być może są gdzieś takie katedry, może nawet jest kilku profesorów i docentów habilitowanych, ale wyników ich pracy badawczej raczej

nie widać. W moim domu, a mieszkam na 6 piętrze, zsypy na śmieci skonstruowane zostały w tak przemyślny sposób, że dna pojemników — umontowanych w betonową rurę — uniesione są pod kątem do góry, dzięki czemu śmiecie na dół nie polecą, jeśli się parę razy nie wyrznie nogą w metalowe drzwi. Albo te małe talerzyki, nawet niebrzydkie, jakie ostatnio kupiła żona. Ich denka mają kuliste wy-

pukłości, człowiek położy grzybek na talerz, zaatakuje widelcem, a tu naczynie zaczyna wirować niczym w trakcie seansu spirytystycznego.

Ostatnio dużo mówi się o jakości produkowanych u nas towarów, o tym, że jest zła, że producenci w pogoni za ilością (!!) zgubili gdzieś jakość. Czy jednak tylko o to chodzi? To prawda, że nikt za granicą nie kupi takiego samochodu, w którym po kilkuset kilometrach przebiegu wysiadają hamulce, ale nikt też nie kupi naszego FSO, w którym podłokietniki w przednich drzwiach do niczego nie służą, bo zostały przykręcone w takim miejscu, że ani ręki ani nogi oprócz o nie nie można. Dla rąk znajdują się za nisko, dla nóg za wysoko, są, bo są, bo coś takiego montuje się na świecie w samochodach. Ciekawe, że w ładach, które również pochodzą z rodziny fiatów, jest już inaczej. Zakupiona przez nas konstrukcja, pochodząca przecież z połowy tego wieku, nie doczekała się żadnego bodaj ergonomicznego usprawnienia.

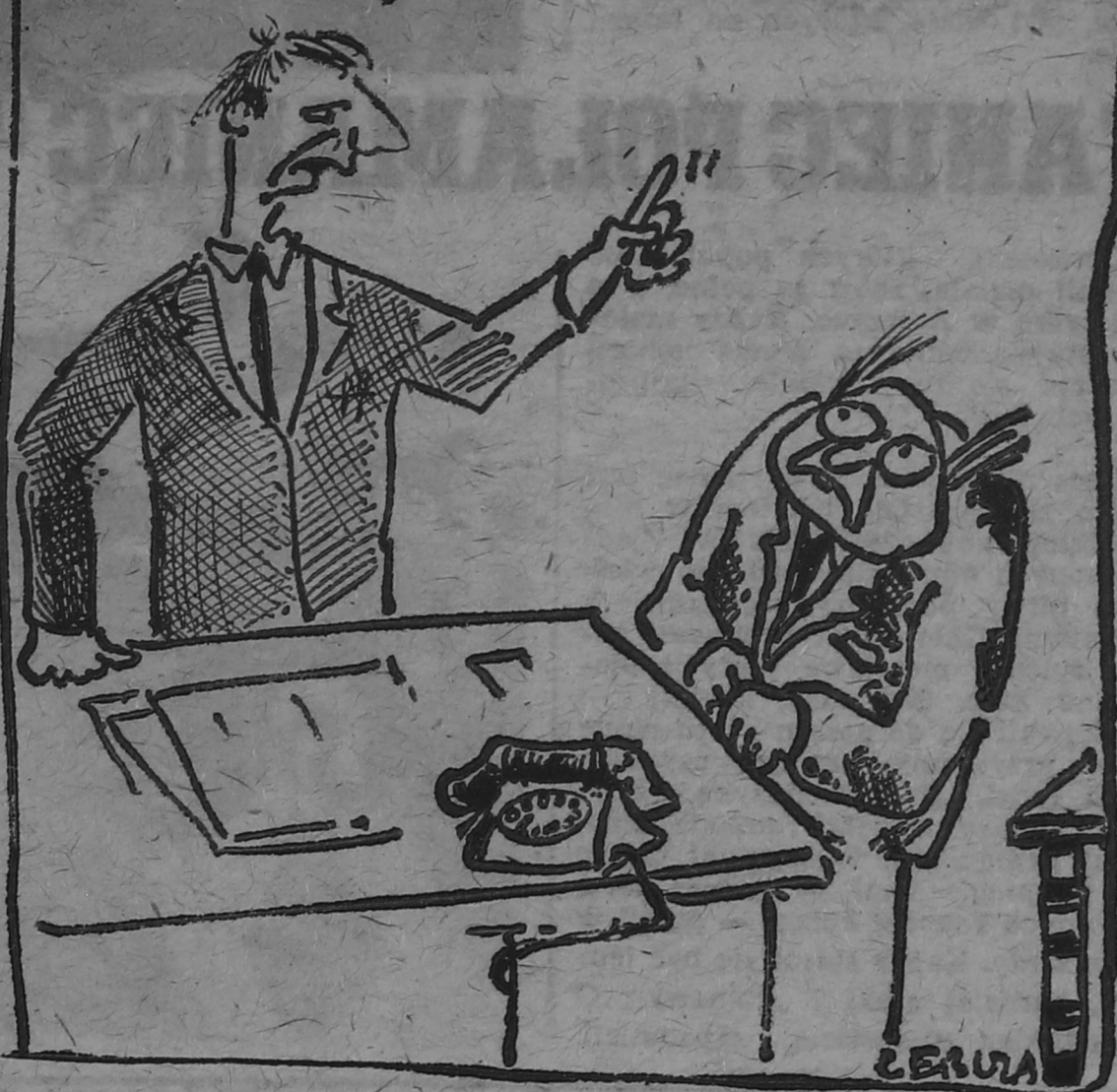
Siernieźność i prymitywizm większości naszych towarów nie da się wytłumaczyć kryzysem gospodarczym. W ogóle nie da się niczym innym wytłumaczyć, jak tylko brakiem zainteresowania Polaków drobiazgami. Wynalazca Kowalski chętnie odkryje rad, wstrzyma słońce, ruszy ziemię, ewentualnie wymyśli jeszcze proch, ale skonstruowanie wygodnego sedesu z funkcjonalną, łatwą w obsłudze i niepsującą się spłuczką, leży poniżej jego godności i dumy. Czyż nie z tego właśnie powodu niemal we wszystkim, co nasze, brakuje wykończenia, ostatniego sznytu lub drobiazgu nadającego właściwy, zgodny z przeznaczeniem, kształt przedmiotom i sprawom?

Tak sobie rozmyślałem w kąpieł, a kiedy wylażąc z wanny o mało nie straciłem zębów z powodu braku zwykłej ręczki do przytrzymywania, montowanej na całym świecie w łazienkach, pomyślałem również, że drobiazg plus drobiazg, to wcale nie są dwa drobiazgi, tylko całe nasze życie.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

Rys. Henryka Cebuli

JESTEM MAGISTER ZAOŁCZNY
IWIELE WYSOKO POSTAWIONYCH
OSOBISTOŚCI PRACOWAŁO
NA MOJ TYTUŁ !!



refleksje



Ale głos Rolanda powtórzył tylko liściaste drzewa sklepienia; odpowiedzi nie otrzymał innej. Po chwili ponowił wołanie, lecz i tym razem bez skutku. Naraz z pośrodku trawy podniosła się postać ciemna, skrwawiona; przestąpiwszy zwłoki zabitego Indianina, sunęła prosto na skępowanego jeńca. W tej chwili podmuch wiatru rozniecił na nowo wygasłe prawie ognisko. Przy blasku migocącego płomienia Roland rozpoznał w zbliżającym się zjawisku Piankishaw. Oczy jego w walce ze śmiercią świeciły dziko. Dolna szczeka, zupełnie roztrzaskana, wisiała w strzępach, a brocząca krew z tej strasznej rany całą pierś pokryła mu jakby szkarłatną oponą. W dłoni kurczowo ściśniętej trzymał polyskujący nóż. Umierając, pragnął się pomścić. Przypadł na kolana tuż przy Rolandzie, nachylił się ku niemu i drżącymi palcami począł szukać jego serca; na koniec namacał je, wznosił rękę usbrojoną w nóż do góry i zadał cios... Lecz ręka, ubezwładniona wzmagającym się coraz bardziej osłabieniem, chybiła celu i tylko mundur na piersi kapitana rozdarła. Piankishaw ponowił cios, ale nie miał siły przebić piersi jeńca; kilka razy zadrasnął tylko na niej skórę. Podczas tych bezowocnych usiłowań konający wódz na próżno starał się utrzymać na kolanach; ciało jego chwiała się coraz bardziej, głowa przechylała się z ramienia na ramię, bluzgając strugą krwi. Na koniec lewa ręka, którą się dotąd opierał, zadrżała, zgłębia się i cielsko całym brzmieniem runęło na pierś Rolanda. Dwukrotnie jeszcze zadrżał i jęknął, po czym skonął, nie zaspokoiwszy chęci zemsty.

W tym strasznym położeniu kapitan na próżno wyteżał wszystkie siły, ażeby chociaż jedną rękę wyswobodzić z więzów, na próżno z całej piersi wołał o pomoc. Nie zabrzmiał głos przyjaciela, nie zatętniły nierzyskie kroki; dokoła zalegała głucha cisza. Stan Rolanda był teraz jeszcze okropniejszy niż wprzód. Zostając w mocy dzikich, miał jeszcze nadzieję, że się zdoła z rąk ich ocalić, że w najgorszym nawet razie, doprowadzony do siedzisk Indian, zostanie uratowany przez rodaków. Teraz ostatnia zgasiła nadzieja. Przywalony trupem Indianina stanął się z nim łupem dzikich zwierząt lub, co gorsze, konać będzie z pragnienia i głodu pod gnijącymi zwłokami. Przerazenie oświadczyło go na tę myśl, ciężar, przytłaczający piersi jego, dech mu zapierał. Na koniec, wyczerpany walką, zgrozą i przestraszeniem, omdlał.

Rozdział XIV

CZŁOWIEK POKOJU

Kiedy Roland na nowo oczy otworzył, ciało jego już było zdjęte z krzyża, ręce i nogi rozwiązane, a głowa spoczywała na kolanach nieznajomego, który obmywał jego piersi zimną zdrojową wodą. Młodzian potoczył wzrokiem dokoła, a pierwszym dojrzanym przezeń przedmiotem był trup Piankishaw z roztrzaskaną szczeką. Ze wstrętem dowrócił oczy od tego strasznego widowiska, które go drżeniem przejęło, po czym wznosił się do góry dla przekonania się, komu zawdzięcza życie. Przy blasku purpurowym wschodzącej jutrzienki poznał z największym zdziwieniem wybladłe i zwędlełe rysy cichego kwakra, Natana. Obok niego stał Cukierek, kręcąc wesoło ogonem, jakby z radością, że znalazł zgubionego przyjaciela.

— Nataniel! Czyż to być może? Tyżes to? — zawołał Roland, na próżno usiłując się podźwignąć. — Na miłość Boską, powiedz mi, skąd się tu wzięłeś?

— Bracie mój! — odpowiedział Nathan swym słodkim i cichym głosem. — Jam to jest i mój wierny Cukierek.

— A ja! Ja jestem wolny. Piankishaw nie żyje! Gdzież dwaj jego towarzysze? Czyż i oni zabici?

— Tak... i oni — odpowiedział Nathan z pewnym wahaniem. — Już ciebie nie będą męczyli.

— I ktoż? — zawołał Roland z ogniem — kto mnie uwolnił? Kto mnie wybawił od śmierci?

— Niechybnie laska Boska — odrzekł Nathan. — Mniejsza o wybawce, gdy jesteś wolny.

— Nataniel! — krzyknął kapitan, podnosząc się w górę i przypatrując uważnie. — Krew na twojej twarzy, ręce nią zbroczone... To ty mnie oswobodziłeś! Mów! Mów! Wszak prawda?

— Nie poczytałbyś mi więc za grzech i bezbożność, gdybym dla uratowania twojego życia użył strzelby i siekiery? — zagadnął Nathan. — Tak, bracie, przyznaję, iż to uczyniłem, ale tylko dla wybawienia ciebie od śmierci. Widziałem leżących przy tobie wrogów, gotowych łada chwila zgruchotać ci czaszkę tomahawkiem; wiedziałem, iż zapędziwszy cie do swej osady, męczyć cię będą przy wojennym palu. Cóż miałem uczynić? Przywiedziony do ostateczności, odważyłem się na naganany czyn, za który może potępić mnie będziesz.

— Potępić? — zawołał Roland, ściskając serdecznie rękę Natana — przeciwnie, będę ci wdzięczny aż do grobowej deski, a cały świat ci przykłada. Gdy to opowiem osadnikom, spłoną ze wstydu, że cię tak niesłusznie obwiniali o tchórzostwo i brak odwagi.

— Bracie mój! — odpowiedział pokornie Nathan. — Dostę mi na tym, że ty nie poczytujesz mi za zło, że krwawego dokonał dzieła. Zachowaj więc w głębi duszy to, coś dotąd widział i co mógłbyś jeszcze zobaczyć, albowiem powinienem o tym pamiętać, że jestem człowiekiem pokoju.

— Z chęcią ci to przyrzekam, mój drogi zbawco, lecz powiedz mi, czy nie wiesz, gdzie jest moja siostra? Co się z nią dzieje? Co się dzieje z karawaną? Z moimi przyjaciółmi? Czy nie dałeś im znać, ażeby pospieszyli nas ocalić?

— Bracie, za wiele pytasz naraz — odpowiedział Nathan, a wesoła twarz jego pokryła chmura pomieszenia. — Wpierw sobie nieco odpocznij i zaczekaj, aż rozcieraniem przywrócę władzę twoim członkom i opatrę twe zadrasnięcia. Gdy będziesz mógł wstać i przechadzać się, opowiem ci wszystko, złe i dobre. Tymczasem pocieszaj się tym, że odzyskałeś swobodę.

— Och! — wykrzyknął Roland strwożony, ty wiesz coś, widzę to z twojej smutnej twarzy. O, mów, co się dzieje z Edytą, Telią? Gdzie je uprowadzili? Może już zabite?

— Mieszasz mnie swoimi pytaniami — odrzekł Nathan. — Jeżeli masz zamiar oswobodzić swą siostrę, musisz przede wszystkim być cierpliwy i przynajmniej potrafisz chodzić. Wtedy coś pomyślimy, może i ja też zdołam coś w tej sprawie doradzić.

To powiedziawszy, począł znów pilnie rozcierać nogi Rolanda, a potem, wyszukawszy potrzebnych ziół, opatrzył zadrasnięcia na jego piersiach i ranę na głowie, która pod ziołami, przyłożonymi wczoraj przez dzikich, znacznie się podgoiła. Roland z cierpliwością poddał się

BIEDNI BOGACZE

Rabin podczas kazania powie-
dział, że ci, którzy są biedni
na tym świecie, będą bogaci na
tamnym i odwrotnie. W kilka dni
potem u rabinu zjawił się pewien
biedny Żyd, który słuchał jego ka-
zania.

— Rebe — spytał — czy ty na-
prawdę wierzysz w to, co mówiłeś
o biednych i bogatych?

— Jestem o tym świecie przeko-
nany — powiedział rabin.

— Rebe, to ja mam do ciebie
wielką prośbę. Jeżeli ja będę na
pewno bogaty, to pożycz mi sto
rubli, a ja ci oddam na tamnym
świecie.

Rabin bez słowa wyciągnął por-
tfel i odliczył sto rubli. Kiedy bie-

dał wyciągnąć po nie rękę, rabin
powiedział: — Chwileczkę, powiedz
mi najpierw, co chcesz zrobić z tymi
pieniędzmi?

— Rebe, ja kupię trochę towaru
do mojego sklepika — rzekł biedak
z błyskiem w oczach.

— Jak myślisz, czy sprzedasz go
z zyskiem?

— Mam taki towar do kupienia,
że zarobię na nim kilkaset procent.

— W takim razie nie mogę ci
pożyczyć; jeśli tyle zarobisz, sta-
niesz się człowiekiem zamożnym,
więc na tamnym świecie będziesz
biedny i nie oddasz mi długu —
rzekł rabin, po czym schował pie-
niądze do kieszeni.

majątek za urodę

Do wielu osiągnięć naszego stu-
lęcia należy możliwość po-
prawienia wyglądu zewnętrznego
człowieka. Zakres operacji plastycz-
nych jest wręcz oszałamiający: od
transplantacji włosów, przez ko-
rekturę nosa i biustu u pań, aż do
usunęcia szpeczącej kostki u nogi.

Dla pozbycia się mankamentów
urody ludzie, a zwłaszcza kobiety,
narażają się na poważne cierpienia,
nie mówiąc już o horrendalnych
kosztach. Operacje plastyczne w
krajach zachodnich nie są tylko
przejawem mody, ale również wy-

znacznikiem pozycji społecznej, do-
brobytu. Im wyższe dochody męża,
tym dokładniej „odremontowana”
musi być jego żona.

W Wielkiej Brytanii operacja pla-
styczna waha się od 1500 do 1700
funtów szterlingów. W USA koszt
takiej operacji wynosi znacznie wię-
cej, bo aż ok. 7000 dolarów, nie
licząc 350 dolarów za każdy dzień
pobytu w klinice. Na urodę nie stać
więc przeciętnie zarabiającego czło-
wieka, który do końca życia musi
nosić swój niekształtny nos, zają-
czą wargę czy worki pod oczami.



NIEDŹWIEDZIE

mukluki

Podczas minionej zimy Eskimo-
si na Alasce wybili dwukrot-
nie więcej niedźwiedzi niż w okre-
sie ubiegłych dwóch lat. Tegorocz-
ny odstrzał jest zarazem najwyższy
od 1972 r., tj. wejścia w życie usta-
wy o ochronie ssaków morskich.
Zabrania ona polowań typu sporto-
wego, lecz pozwala miejscowej lud-
ności eskimoskiej zdobywać mięso
niedźwiedzia na potrzeby żywiwe.
Interpretacja tych ustaw spowodo-
wała w praktyce bezprecedensowe
przerzedzenie populacji białych nie-
dźwiedzi. Istnieje wprawdzie zakaz
sprzedaży cudzoziemcom skór polar-
nych niedźwiedzi, nie obejmuje on
jednak wyrobów z tych skór, m.in.
obuwia „mukluki”, rękawic oraz
futrzanych okryć z kapturami.

Myśliwi eskimoscy polują najczę-
ściej na samice z małymi, ponieważ
łatwiej je złowić. To jedna z głów-
nych przyczyn wyniszczenia pogło-
wa tych zwierząt, które odznaczają
się niskimi wskaźnikami reproduk-
cji. Samica białego niedźwiedzia ro-
dzi dopiero po osiągnięciu piątego
roku życia, a następnie przez 3,5 lat
tarni i wychowuje młode. Po upły-
wie tego czasu zdolna jest do po-
nownego macierzyństwa.

inżynierowie leningradzcy zbu-
dowali robota, który wybiera
tylko i sadzące się do spożycia
warzywa i ziemniaki. Pozostałe kie-
ruje do przeróbki na paszę dla byd-
ła. W ciągu godziny może przesor-
tować 25 ton warzyw.

Dziesięć podobnych systemów wy-
próbowano już na polach północno-
zachodniej części Rosji. Pod Le-
ningradem stosowana jest również
automatyczna ładowarka owoców i
warzyw. Elektroniczny operator
steruje transportem taśmowym z
mechanicznymi chwytakami. W cią-
gu doby może napelnić i odprawić

ELEKTRONICZNY rolnik

ponad tysiąc zasobników o pojem-
ności 400 kilogramów każdy. Pra-
cuje już robot-spezjalista w cieplarni:
zmontowany na szynie pod
szklanym dachem — spulchnia gle-
bę, z absolutną dokładnością sadi
nasiona, a kiedy kontrolny system
komputerowy sygnalizuje dojrzałość
warzyw, zbiera i pakuje cebulę, ko-
per, pietruszkę.

Został już przeegzaminowany ro-
bot do przerywania wschodzących
roślin. Czujniki elektroniczne roz-
poznają, które rośliny są najlep-
sze i należy je zostawić.



znaki zodiaku

13

KONTAKTY
4 XI 1984

▲ Znak pierwszy dlatego nazywa
się Baranem, że jako zwierzę to
wełną jest pokryte, ciepło sprawa-
jące, tak Słońce w znak ten wstę-
pujące, po wyczerpanych zimnach, na-
czytna rozgrzewać ziemie.

▲ Drugi znak zowie się bykiem
z tej przyczyny, iż jako ten nad
Barana jest mocniejszy, tak bawia-
ce w tym znaku Słońce mocniej i
skuteczniej promienie swoje roz-
pościera po ziemi.

▲ Znak trzeci ma nazwisko Bliź-
nięt. W nim bowiem zostające
Słońce tak grzeje, że i młodziuchne
dzieci, kwiatami w ten czas naj-
bardziej się wydobywającymi zaba-
wione, a w odzież nie opatrzone,
zmieść mogą powietrze.

▲ Znak czwarty ma imię Raka,
ile że w niego spieszące Słońce do
tego miejsca, które opuściło, powra-
ca, w czym raka naśladowuje.

▲ Ze zaś w lipcu, osobliwie przy
wschodzącym Syriuszu, największe
panują upały, do tych wyrażenia
wzięty jest znak piąty Lew, moją
i gorącością między wszystkimi
zwierzętami celujący.

▲ Znak szósty, Panna, oznacza,
że gdy Słońce w nim gości, jakby
niepłodne, ziemskie nie wzrastają

owoce, lecz tylko do dojrzałości
przychodzą.

▲ Znak siódmy, Wagi, znać daje,
że w wrześnie noc i dzień równy-
mi, przy wstępie w znak ten Słoń-
ce, wymierzają się godziny.

▲ Znak ósmy, Niedźwiadka,
cienkie żądło wyraża powracające
zimno, ciała na kształt zakończony
włócznie przez letnie suknie przesy-
wająca.

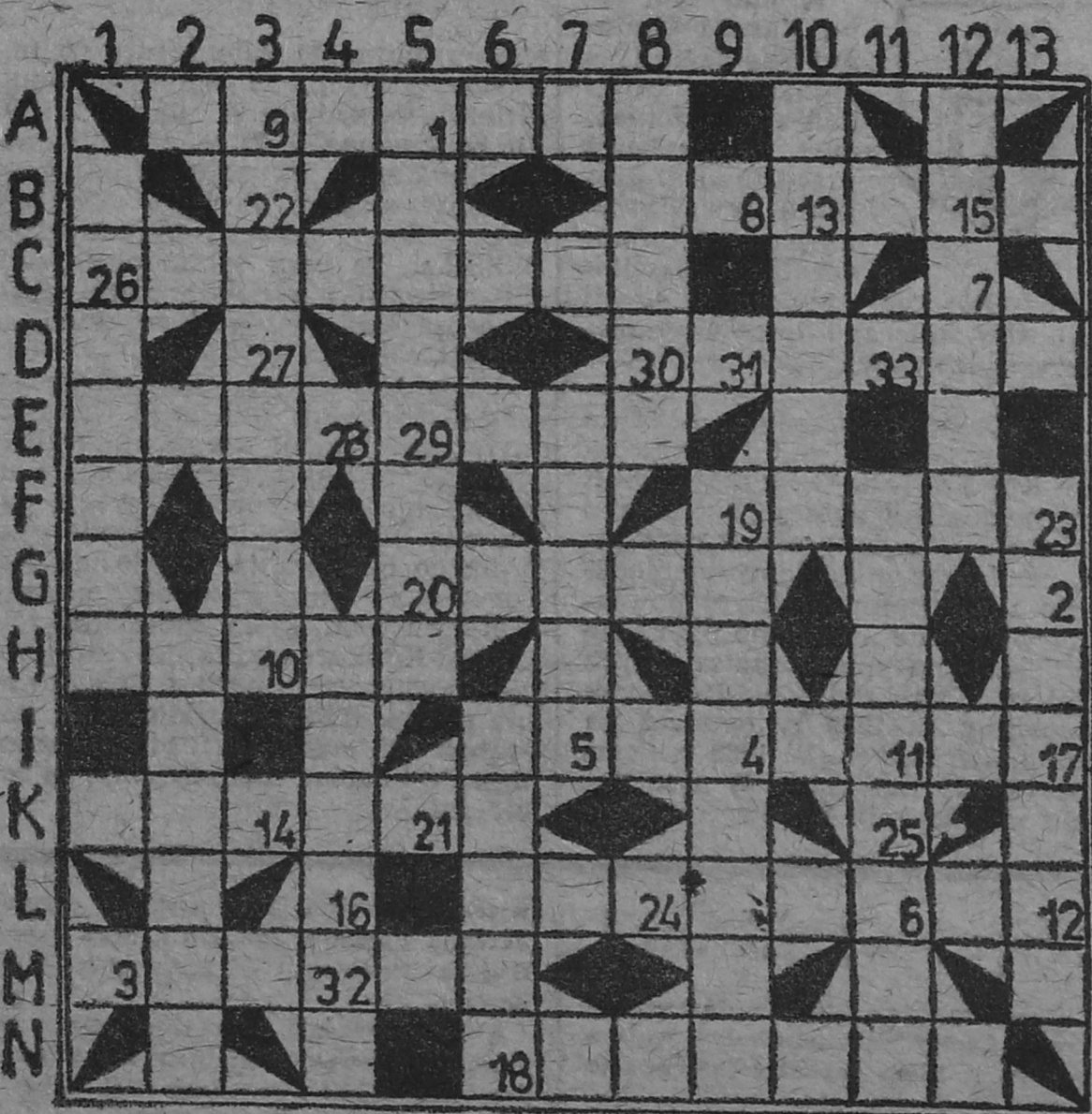
▲ Znak dziewiąty, Strzelec, czas
do polowania najprzystojniejszy oka-
zuje.

▲ Z znaku dziesiątego, Kozła,
wnieść potrzeba, że jako ten wspi-
na się po skałach i do galezi się
podnosi, tak Słońce w grudniu,
mrozem przejętą, a zatem twardą,
ziemię i wody zlodowaciłe odwil-
ża, w południe zaś wyżej się wzbi-
ja.

▲ Znak jedenasty stąd Dzbanem
ręczony, że lodem pokryta woda
w miejscach tylko niektórych tak
oszczędnie, jak z dzbanu, wydoby-
wa się.

▲ Znak dwunasty Rybami jest
nazwany, że bowiem w ten czas po
spłynionym lodzie zaczynają się po-
kazować.

(Kalendarz Muszyńskiego z 1778 r.)



Litery z pół ponumerowanych w prawym dolnym rogu, wypisane kolejno od
1 do 33, utworzą przysłowie polskie z XIX w.

POZIOMO: A-2) druga potęga, B-8) wrzód, czyrak, C-1) bohaterka łowów Kali-
dońskich, D-3) b. reprezentant Polski na łożu, E-1) za kółkiem, F-19) służba dozo-
rowca, G-5) kolega „Pana X”, H-1) uczucie lęku, trwogi, I-6) specjalista od nerwo-
bóli, K-1) komplet białej pościeli, L-6) pomocnicze urządzenie współpracujące
z hakami dźwigni, M-1) maluch, N-6) reżyser filmu „Noce i dnie”.

PIONOWO: 1-B) miejsce postojowe pojazdów, 2-H) specjalista od uprząży, 3-A)
rekwizyt dziecięcy do zabaw w piaskownicy, 4-H) podrzutek, 5-A) rodzaj lekkiej
jazdy, 6-1) miasto w pld. Peru, 7-E) jednostka aktywności promieniotwórczej, 8-A)
zielona pasza, 9-F) oczko w głowie bankiera, 10-A) gaz bojowy, 11-F) trzeźwo patrzy
na świat, 12-A) szczęścia lub kłopoty, 13-F) artysta cyrkowy z maczugami.

(„GOLIAT”)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadeślą pod adresem redakcji
prawidłowe rozwiązania (tylko hasło), rozlosujemy nagrody książkowe.

Stragam pod trzynastką



TANIE DANIE

RAGOUT

Składniki: 1,80 kg wołowiny,
100 g smalcu, 25 g pieczarek,
100 g cebuli, pasta pomidorowa,
100 g maki, szklanka śmietany, pieczek
melonowej pietruszki, sól, majeranek,
pieprz, czosnek.

Wykroć małe sznycelki, zbić,

wołowe

z pieczarkami

smażyć na smalcu z cebulą. Dodać
czosnek, majeranek, pastę pomido-
rową, pieprz, sól. Kiedy mięso za-
cznie mięknąć, włożyć uduszone
pieczarki. Zaprawić śmietaną wy-
mieszaną z makią i zagotować.



W maju ruszyła długo oczekiwana budowa kotłowni przyszpitalnej. Projekt przewiduje wzniesienie także stacji transformatorowej i spalarni odpadów chirurgicznych. Głównym wykonawcą jest Białostockie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, które — według informacji inwestorów — dotrzymuje na razie terminów. Harmonogram nie przewiduje zamknięcia w tym roku ścian budynku głównego. Tak, jak na pozostałych budowach w tym mieście, brakuje ludzi, toteż 11-osobowa brygada dojeżdża (10 osób z Białegostoku i 1 — z Łomży). W Wysokim Mazowieckiem ciągle łatwiej o fryzjera niż o budowlanica.

Cztery miesiące trzeba było czekać na zainstalowanie na budowie telefonu. Niestety, działa tylko do 15.00. Później co prawda budowlani nie pracują, ale zaczynają działać złodzieje. W jaki więc sposób dozorca



Mimo że od kontroli GIT-u minęło kilka tygodni, temat jest ciągle aktualny. Z krążących informacji wynika, jakoby kontrolerzy mieli szczególnie dużo zastrzeżeń do

Zambrowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Czy zarzuty dotyczyły sławnego już osiedla Wschód?

PIOTR KOZAK, wiceprezes ZSM: — Podstawowy zarzut dotyczył przydziału mieszkań. Na początku roku sporządziliśmy listę podstawową, a oprócz niej — zgodnie z regulaminem — rezerwową. Przy rozdzielaniu mieszkań wiele osób zrezygnowało, z kilku przyczyn: wysokich cen, dużej ilości małych mieszkań. Na ich miejsce przeszli członkowie z listy rezerwowej. Okazało się jednak, że i tak zostały nam jeszcze cztery lokale. Wówczas postanowiliśmy zaproponować je kolejnym członkom naszej Spółdzielni. Trwały urlopy — nie mogliśmy zebrać członków Zarządu, Społecznej Kom-



W ubiegłym roku Zarząd Gminnej Spółdzielni na jednym ze spotkań z mieszkańcami Grabowa przedstawił program inwestycyjny na 1984 r. (modernizacja pawilonów handlowych, budowa nowej wagi). Czy obiecane inwestycje zostały zrealizowane?

Odpowiadają członkowie Zarządu GS w Stawiskach: — Po interwencjach KG PZPR w Grabowie WZSR przeprowadził w naszej Spółdzielni kontrolę. Postawiony został nam zarzut, że źle gospodarujemy pieniędzmi. Po zbudowaniu piekarni powinniśmy wszystkie zarobione pieniądze przeznaczyć na spłatę zaciągniętych na jej budowę kredytów. Kosztorys opracowany w 1979 r. opiewał na 19 milionów złotych. W 1982 r. koszt wzrósł do 51 milionów. W tym roku, po zakończeniu budowy, okazało

wypisy z historii

▲ Od listopada 1633 r. do marca 1659 r. w Łomży stacjonowały wojska szwedzkie, które opuszczając miasto zniszczyły je doszczętnie.

▲ 4 XI 1945 r. w Białymstoku odbył się publiczny błąd przelajowy o puchar redakcji „Jedności Narodowej”. Zdobyła go drużyna Gimnazjum Mechaniczne-Go.

▲ W listopadzie 1945 r. z rąk bojowników NZW koło Kobylna zginął Zygmunt Kościński — pełnomocnik powiatowy ds. świadczeń rzeczowych na powiat wysokomazowiecki, członek KW PPR, były sekretarz KM PPR w Białymstoku, wieloletni działacz robotniczy, były więzień Berezy Kartuskiej. Wraz z nim zginęli: Józef Zalecki — komendant miejski MO w Wysokim Mazo-

WYSOKIE MAZOWIECKIE

może zawiadomić milicję o wizycie nieproszonych gości?

Prawdopodobnie termin uruchomienia kotłowni (przewidywany na 1987 r.) zostanie dotrzymany. Już teraz wiadomo, że najtrudniejsze będą prace wykończeniowe, a także zsynchronizowanie kotłowni z systemem grzewczym szpitala i miasta. Okazuje się bowiem, że szpitalna kotłownia w przyszłości będzie wyłącznie awaryjną, zaś zasadniczą jej rolę zostanie ograniczona do dostarczania tzw. pary technologicznej do urządzenia szpitala.

Zbliża się kolejna zima i działająca od lat pięćdziesiątych szpitalna kotłownia po raz kolejny będzie musiała wykazać się sprawnością. Co gorsze, nawet kotłowni nie da się przekazywać etapami, więc „staruszkę” wyreczy ona dopiero po zbudowaniu wszystkich urządzeń. Tylko czy wysłużone maszyny wytrzymają jeszcze trzy lata?

ZAMBROW

sji Mieszkaniowej. Właśnie brak ich podpisów zarzucili nam inspektorzy GIT-u. Nawet gdyby formalności były zachowane, mieszkania otrzymałyby te same osoby.

Uwagi dotyczyły również wyglądu osiedli: bałaganu w piwnicach, na klatkach schodowych. Odrabiamy zaległości, które wynikały z błędów projektowych. Białostockie Przedsiębiorstwo Przemysłu Lekkiego podjęło się wykonania kanalizacji deszczowej. Mielimy nadzieję, że do tego czasu wykonany zostanie kanał ciepłowniczy do przychodni lekarskiej. Całkowite uporządkowanie osiedla Wschód nastąpi za dwa-trzy lata, kiedy zakończymy budowę bloków. Ale i wtedy wygląd osiedla w znacznej mierze będzie zależał od lokatorów. Trudno jest znaleźć dobrych gospodarzy domów, ale i oni nie dopilnują wszystkiego. Jeśli lokatorzy nie sprzątaj klatek schodowych, niszczą zieleni, rozjeżdżają samochodami chodniki, zawsze będzie powód, aby przy kolejnej inspekcji Spółdzielni otrzymała dwóję.

STAWISKI

się, że do zapłacenia mamy 60 milionów złotych. 20 milionów Spółdzielnia otrzymała w ramach kredytu bankowego, a 33 — z Centralnego Funduszu Rozwoju. Kredyty te musimy spłacić w ciągu dziesięciu lat. Stąd zarzut pracowników WZSR-u, że przy takim obciążeniu finansowym nie powinniśmy budować czegośkolwiek w Stawiskach, a ni w Grabowie.

Projekt inwestycji dla Grabowa przygotowywany był przed ostatecznym rozliczeniem z wykonawcą. Nie zrealizowaliśmy wszystkiego, ale udało się nam odnowić elewację pawilonu, kończymy instalowanie centralnego ogrzewania. Ciągłe nie jest rozwiązana sprawa budowy nowego budynku wagi, który spełniałby rolę biura. Konkurencyjna jest koncepcja modernizacji baru i dobudowania piętra. Budowa uzależniona jest jednak od naszej sytuacji finansowej. Po bilansie zdecydujemy, co robić dalej.

wiekiem, Antoni Dąbrowski — członek Zarządu Powiatowego ZSCh oraz kapral Wojska Polskiego — Franciszek Malinowski.

▲ W listopadzie 1945 r. w Grabowie powołano Zarząd Powiatowy SL, którego prezesem został Franciszek Zabielski, a wiceprezesem — Edward Zych.

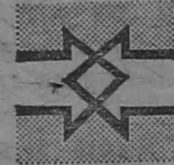
▲ 5 XI 1948 r. w Kolnie na Powiatowej Konferencji PPR uchwalono rezolucję, popierającą zjednoczenie polskiego ruchu robotniczego. Delegatem na Kongres Zjednoczeniowy wybrany został Władysław Szysz.

▲ 2 XI 1958 r. korespondenci prasy zagranicznej zapoznali się z miejscami zbrodni, popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na Białostocczyźnie.

▲ 7 XI 1964 r. zostały uruchomione Zakłady Dzielwarskie w Kolnie.

▲ 4 XI 1968 r. w Łomży oddano do użytku browar.

spiećcia



„W chodniku naprzeciw bloku nr 11 przy Armii Czerwonej jest od kilku miesięcy dziura — zadzwonił do nas poirytowany czytelnik — a wy nie reagujecie!” Przepraszamy. Jednocześnie informujemy, iż Stała Komisja „Spieć” Do Spraw Dziur i Wypaczeń w pełni potwierdziła faktyczność wyżej wspomnianego faktu. Ustaliła ona, iż opóźnienie w jego likwidacji wynika po części z czynników obiektywnych, głównie braku łopat o odpowiednim gabarycie, niemniej ewidentna jest wina redaktora naczelnego, który nieodpowiedzialnie zachorował. Zainicjowane zdarzenie zostało omówione z załogą na specjalnym kolegium przed godz. 13.00. W przypadku powtórzenia się podobnych zarzutów Komisja wystąpi z wnioskiem o odwołanie dziennikarzy pisma na kolegia po 13.00.

Zachwyceni wysoką oceną GIT-u kierownicy PKS-u — którym, z wyjątkiem strażaków, inni do brody nie dorastają — starają się zastąpić na jeszcze lepszą trójkę i jeżdżą jak szatani. Na przykład ten z Krzewa, który miał odjechać o 6.01 z Drozdowa (było to w środę, 17 października), wyruszył o 10 minut wcześniej. Za to jego kolega, jadący z Bronowa, nie zwracał sobie pały kilkoma pracownikami stojącymi na przystanku i nie zatrzymał się. Bo po cholere pracują, skoro GIT położył na nich pałę?

Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska stosuje oryginal-

ny bodziec utrzymania plantatorów, którzy churmem przechodzą pod opiekę Łomżyńskich Zakładów Spożywczych: nalicza wielotysięczne kary za niewywiązywanie się z umowy, po czym obiecuje je anulować pod warunkiem podpisania nowej. W ten sposób zaszantażowała wieś Supy, teraz dobiera się do rolników z Grąd Dużych i Małych oraz Zanklewa, którzy mają nie- szczęście pamiętać, jak za monopoli Spółdzielni byli w głębokim poważaniu. Przyszł czas na wzajemność.

Czytelnik, któremu zachciało się mieć karnisze umocowane na wstrzelanych kotkach, dowiedział się w administracji Łomżyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej pod nr tel. 57-17, iż mają pistolet, ale, niestety, brakuje im kółków i naboju, natomiast pod nr. 42-21 oświadczone mu, iż mają kółki i naboje, lecz, niestety, zepsuł się im pistolet. Z radością odnotujemy dalszy rozwój bilateralnych stosunków, zwienczony zawarciem wzajemnie korzystnych wewnętrzzspółdzielniowych porozumień w atmosferze szczerości i wzajemnego zrozumienia.

W czasie uroczystej akademii Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łomży inspektor oświaty i wychowania rzucił mimochodem, że w gruncie rzeczy wychowawczy przedmiot nie jest potrzebny — wystarczy wyższe wykształcenie — wystarczy, by była dobra matka. Nie matura, lecz chęć szczera? Odważny powrót do źródeł.

Nad wejściem do pokoju kierownika Banku Spółdzielczego w Zbójnej wisi tabliczka informująca o zakazie fotografowania. Po kontroli GIT-u nie jeden szef okazał się nie- wypałym, który z nich nie chciałby teraz powiedzieć: nie zwykłym, ale strategicznym?

z marginesu

W piękne piątkowe popołudnie Teresa S. została zacepiona na ulicy przez dwóch młodych mężczyzn, jej rówieśników. Wpadła im w oko nie tyle ona sama, co zawartość jej siatki, a mianowicie butelka wódki oraz wino. Zaczeli się przymawiać o poczęstunek. Bez rezultatu, gdyż Teresa S. następnego dnia miała w gronie koleżanek obchodzić imieniny i ani myślała zmieniać swe plany. Złotniocy zostali tym samym „spławieni”.

Następnego dnia, wróciwszy z pracy, zaczęła się żwawo krzątać koło przyjęcia. Potem wzięła kąpiel, umyła włosy. Nie skończyła jeszcze przygotowań, gdy ktoś zakolał do drzwi. Była tylko w szlafroku, z ręcznikiem na mokrych włosach, ale otworzyła, przypuszczając, że to ktoś z dobrych znajomych. Ujrzała wprawdzie już znajomych, ale niepożądanych gości — podpiętych mężczyzn, którzy wczoraj nagabywali ją o wódkę. Dziś przyszli na imieniny. Nie mieli wprawdzie kwiatka, ani żadnego innego prezentu, lecz niezbyt grzeczną prośbę, by... opłaciła rachunek za taksówkę, którą do niej przyjechali: 1400 złotych. Bagatela. Dziewczyna nie miała zamiaru ani płacić, ani stawać wódkę. Jakoś udało się jej wymanewrować natrętów przed dom. Drzwi zamknęła na klucz i wtedy usiłowała jeszcze z nimi pertraktować. Dom usytuowany w głębi ulicy, otoczony ogrodem i pastwiskami nie stwarzał poczucia bezpieczeństwa. Pewnie więc czuła się na świeżym powietrzu niż w jego wnętrzu. Panowie, którym wcześniej wypity alkohol dodał animuszu, ani myśleli ustępować. Wyrwali kobiecie klucz i wpełnili ją do środka. Teraz dopiero poka-

zali swą „klasę”. młodszy, 25-letni Waldemar Kawkowski zabrał z jej torebki 800 złotych, a z kredensu wino. Zaczął też „dobierać się” do dziewczyny. Ponieważ stawiała bardzo zdecydowany opór, Kawkowski wspomagając jego kolega, Mariusz Syga. Wykreślił jej ręce, bili po twarzy i całym ciele, wyrwali włosy. Kawkowskiemu udało się zgwałcić zupełnie już bezbronna kobietę. Syga poprzestał na próbach. Tym bardziej że zbliżała się własna godzina osiemnasta i zjawili się pierwsze koleżanki, a tuż po nich milicja. Ucieczka nie powiodła się i obaj chuligani zostali osadzeni w areszcie. Obaj są mieszkańcami Zambrowa, żonaci, mają dzieci, pracowali. Waldemar Kawkowski ostatnio pracował i mieszkał w Sopotcie. Twierdzi, że wrócił w rodzinne strony, gdyż niezbyt układało mu się życie z żoną. Można jednak przypuszczać, że to raczej żonie niezbyt się układało życie z nim. Był on bowiem już karany za napad rabunkowy i zniewagę funkcjonariusza MO, a w sierpniu został na mocy amnestii zwolniony z zakładu karnego.

Inna Teresa S., łomżyńska, również w swoje imieniny została napađnięta na ulicy Poznańskiej. Nieznany mężczyzna uderzył ją w brzuch, a następnie wyrwał z reki koszyk i skradł portmonetkę z 7 tysiącami złotych i kluczami do mieszkania.

Terese W. odwiedził natomiast w jej łomżyńskim mieszkaniu — podczas nieobecności domowników — tajemniczy gość, o którym można jedynie powiedzieć, że jest złodziejem. Zabrał złotą obrączkę, złoty i srebrny pierścionek, dwa lichtarze i butelkę „Bałtyku”.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Wiesław Kosiński, Stefan Ostrowski, Adam Jerzy Socha, Gabriela Szczepa, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zielinski, Fotoreporter — Gabor Lórinczy, Redaktor graficzny — Stanisław Kędziawski, Redaktor techniczny i korekta — Elzbieta Słupka i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Stefan Atlas, Alicja Bąsta, Leszek Czyż, Adam Dobroński, Bronisław Gołębiewski, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianuk, Jan Kwasiński, Andrzej Polanski, Waldemar Szpalinski, Andrzej Tchórzewski, Alicja Zagórska. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

KONTAKTY

P 2692-1

ROGER JALAPA
(1794—1853)

Urodzony w paryskim więzieniu. Jego ojciec był włóczęgą, a matka — notoryczną złodziejką, toteż pierwsze swe lata spędził w celi. Ówczesne prawa zezwalały dzieciom na swobodne poruszanie się w obrębie więzienia, nic dziwnego, że Jalapa całymi dniami „zwiądzał” rodzinny kryminal, o czym później wielokrotnie wspominał.

Wraz ze śmiercią matki młody Roger znalazł się na wolności i szybko przystąpił do jednej z band złodziejskich. Jego przestępcza kariera potoczyła się dalej raczej normalnie, z jednym wszakże istotnym i znamienym wyjątkiem — aresztowany i osadzony 59 razy w różnych zakładach karnych na terenie całego kraju zawsze z nich uciekał. Nigdy nie siedział dłużej niż tydzień. Powiadano o nim, że potrafi przenikać przez mury.

horoskop sarmacki

(urodzeni 1 XI—7 XI w godz.
7.00—8.14)

W tym tygodniu jesteś narażony na nieprzyjemności, jakie mogą spotkać Cię ze strony najbliższych przyjaciół i kolegów. Ale nie martw się,

wkrótce odegrasz się na wszystkich. Gdzieś około piątku czy soboty trafi się właśnie taka okazja. Wypatruj jej pilnie! Pamiętaj, że Twoi przyjaciele tylko wtedy będą Cię cenić, gdy im pokażesz, co potrafisz.

Przyjazna roślina: lwia paszcza (*antirrhinum majus*).



Podulka

Rys. Andrzeja Podulki

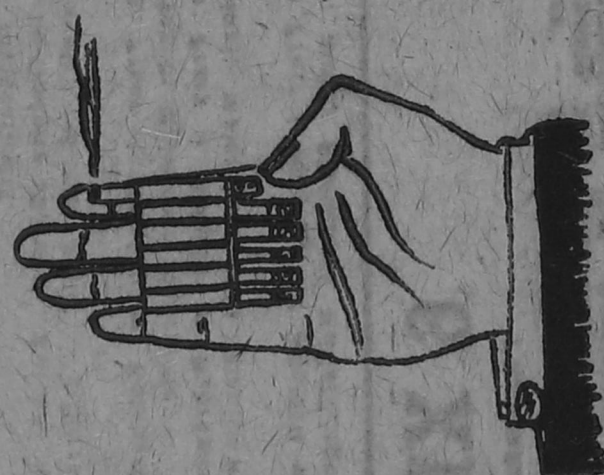
Z ZYSKIEM W ANTYKWARIACIE!

organ sarmacki
pod redakcją
Wiesława Głanińskiego

konserwacja

☆ pokus ☆
hokus hokus
☆ snkod ☆

papierosy
z powietrza (2)



MYŚL BEZ ATESTU

dwa grzyby
w barszcz
i będzie zupa
grzybowa

bezczynność i kruczki

„[...] bogatsi oddają się bez-
troskiej beczynności i przy-
jemnym zabawom, uboższym
zostawiając prace umysłową i
rozwijanie pomysłowości. Ci
znowu zgodnie z tym, co mó-
wi filozof, że trudno oczeki-
wać dobrej pracy od pędza-
rza, muszą się na wszystkie
strony rozglądać za zarob-
kiem, który by im zapewniał
utrzymanie, i wtajemniczać
się w nauki i zajęcia obce
nieraz ich zainteresowaniom i

nie na miarę ich zdolności;
a ponadto, kiedy już osiągną
tyle, że można na tym po-
prześcić, i kiedy sami upodob-
nią się trybem życia do moż-
niejszych, natychmiast zaczy-
niają się rozpraszać na sprawy
związane z zabezpieczeniem
majątku, na procesy są-
dowe i kruczki prawne albo
na wspieranie polityki moż-
nych.”

(Marcin Kromer — POL-
SKA, 1575 r.)

Sekret sztuki przedsta-
wionej w ubiegłym tygodniu za-
sadza się na przygotowaniu i
umiejętnym manipulowaniu
specjalną kaseta. Może być
ona wykonana z metalu lub
innego materiału, który się
jednak — oczywiście — nie
pali. Iluzjonista przed wej-
ciem na scenę (sztuka ta po-
kazywana jest zawsze jako
pierwsza!) zapala sześć papie-
rosów i wsuwa je do o poło-
wę krótszych sześciu rurtek
kasety. Teraz „wyczarowuje”
kolejno jeden po drugim pa-
pierosy, przesuwając je z rur-
ki do palców kciukiem.

FAKIP

SEKSRUBRYKA z pamiętnika seksualisty (17)

Po niefortunnej przygodzie
z Różą, od której zamiast to
otrzymać, czegoś się spodzie-
wałem, dostałem jedynie w ge-
bę, czas jakiś spędziłem na
roztrząsaniu przyczyn niepo-
wodzenia. „Jak to się dzieje
— myślałem, nie śpiając no-
cami — iż moi niedysiejści
przyjaciele żęby już zdążyli
postradać w codziennych za-
pasach z naturą, ten i ów na-
bawił się nawet wstydlivej
choroby francuskiej, ja zaś
po dawnemu ciągle jeszcze
nie poznałem najważniejszej
ze wszystkich ludzkich tajem-
nic.” Nic, tylko fatum jakieś
okrutne zawisło nade mną!
Czym innym mogłem tłuma-
czyć te wszystkie niepowo-
dzenia, ciągnące się jedno po
drugim niczym bociany w
kluczu jesiennym?

Rozmyślałem tak, trapiąc
się i gryząc, aż nareszcie
wpadłem na zbawienny po-
mysł odwiedzenia wróżki, o
której głośno było naówczas w
naszej guberni. Wziąwszy te-
dy do ręki węzelek z kawał-
kiem suchego chleba, ruszy-
łem przed siebie, by się do-
wiedzieć, jaka to kłątwa spra-
wia, iżem w wieku lat bez
mała dwudziestu ciągle jesz-
cze pozostał w stanie czysto-
ści bezwzględnej. Droga pro-
wadziła przez malownicze do-
liny i pagórki, jednakże kie-
dym na nie patrzył, nie tom
widział, co było, lecz to, cze-
gom się mógł domyślać zaled-
wie z anatomicznych detali
kobiecego ciała — taka była
we mnie przemożna chęć
poznania prawdy odwiecznej.

Doszedłszy po kilku dniach
marszrutę do chaty zamiesz-
kanej przez wróżkę imieniem
Eufrozyna, odważnie zastuka-
łem w okno. Rychło, też
skrzypnęły drzwi i w pro-
gu stał babsko potężne.

— Pani! — powiedziałem
najgrzeczniej, jak tylko umiał,
wyzbywając się natu-
ralnego lęku. — Sprowadza
mnie do ciebie sprawa nad-
zwyczaj delikatnej natury...

Wiedźma, machnawszy re-
ką w pół zdania przerwała
moje wywody: — Wiem, co
cię do mnie sprowadza, mło-
dzieńcze, twój pysk obrzuco-
ny krostami sam mówi za
siebie. Tedy wejdź do środ-
ka, bądź dobrej myśli i nie
trać nadziei. Eufrozyna nie
jednemu już pomogła, pomo-
gę i tobie, byleś ściśle wy-
pełniał wszystkie moje pole-
cenia.

(cdn.)

POWIADAM WAM

Komunikujemy z nieukry-
wanym żalem i smut-
kiem, że ogłoszony przez nas
przed kilkoma tygodniami
wielki konkurs na dowcip
czterdziestolecia, absolutnie
apolityczny i całkowicie a-
seksualny, nie doczekał się
spodziewanego szerokiego od-
zewu. Kilku Czytelników
przysłało wprawdzie parę
dowcipów, ale jest tego ma-
ło i nie są one — niestety
— najwyższych lotów. Domi-
nują kawały o babie, która
np. przychodzi do lekarza, a
lekarz też baba, albo o Le-
chu, Czechu, Rusie, Francu-
zie, Amerykaninie, Angliku
itp. Nawiasem mówiąc te o-
statnie balansują na tak zwa-
nej krawędzi, więc i tak nie
mogłyby startować w kon-
kursie.

Nasz znajomy psycholog
wyjaśnił nam, o co właści-
wie chodzi i czemu jest właś-
nie tak, a nie inaczej. Otóż
poczucie humoru Polaków
kręci się podobno wyłącznie
wokół dolnych części ludzkie-
go ciała lub też górnych partii
międzynarodowej oraz wew-
natrzakrajowej polityki. W
środku jest próżnia, a z próż-
nego, wiadomo, Salomon na-
wet nie wydoi...

PODREDAKTOR

FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Nie pod niebem...

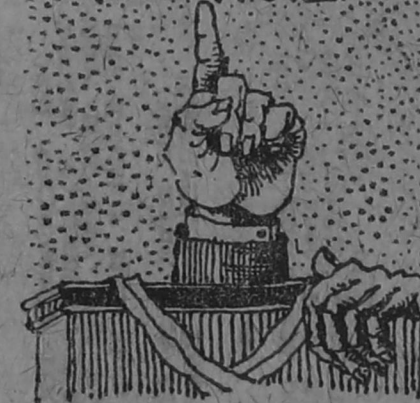
Nie pod niebem, pod gołem
Nie nad Wisłą na mapie
Tylko w domu pod stołem
Leży Kaźmierz i chrapię

Wczoraj trochę zarządził
Dzisiaj z letka poprawił
I tak sobie urządził
Ze rozumu się zbawił

Przy surówce z kapusty
Zmokłych petów kopisko
Kaźmierz sprośny i tłusty
Znow się nachlał — to wszystko.

Franciszek Pomoraniuk, poeta częściowo ludowy. Złożył w
KAW-ie tom wierszy pt. „Życie kończy się po 13.00”.

W TYM
TEMACIE



z listów
do urzędu
(fragment
większej
całości)

„Roztrząsacza obornika mnie
nie przyznano, chociaż jestem
wzorowym rolnikiem na 10 ha
z zabudowaniami i kurnikiem,
a mój ojciec przelewał swoją
krew z okupantem, na co ma
dowody w postaci zaświadcze-
nia wydanego przez odnośne
władze. Przyznano Konstante-
mu K., który wcale nie miał
ojca, bo od początku był bas-
trukiem niewiadomego pocho-
dzenia i on też nie walczył,
choć jak była wojna, to
miał co najmniej 15 lat...”